

Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT • NR 47 (1783) • 22-28 listopada 2024



Dziedzice
państwa
PiS
str. 10-11



Dżentelmeńska
rywalizacja



nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237 Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

WOJNA DOMOWA

♦ W chwili zamykania tego numeru „NIE” nie wiemy jeszcze, kto wygrał prawyboły w Platformie – ale niewykluczone, że będziecie go czytać, już wiedząc. Przezornie zatem nie czynimy żadnych zapowiedzi, a jedynie kwerendę po ostatnich wydarzeniach.

♦ Wbrew cokolwiek naiwnym wezwaniom do „dżentelmeńskiej kampanii”, kandydaci napierdalali się, ile wlezie, choć konfrontacja ograniczała się do złośliwości. Skwapliwie podsycanych przez Tuska, który ogłosił dwa konkurencyjne badania: wewnętrzny sondaż PO, gdzie Sikorski był daleko za Trzaskowskim, w pierwszej turze przegrywając z kandydatem PiS, a w drugiej wygrywając, ale wyraźnie słabiej; oraz sondę na X, gdzie Radek dostał 65 proc., a Rafał – 35. Odpowiedź prezydenta Warszawy na pytanie dziennikarki w tej sprawie: *Pani redaktor, ja mam jedną prośbę: traktujmy się poważnie. Mam bardzo dokładne wyniki zamówione przez Koalicję Obywatelską w sondażowni, wyniki, które mamy od wielu, wielu miesięcy, prowadzone według metodologii – i niektórzy porównują to do sondy na Twitterze? Na serio? Starajmy się być profesjonalni...*

♦ Konkurenci będący koalicjantami PO nie kryją radości z platformerskiej jatki: *Minister Sikorski idzie z wielką energią. Takiej energii nie da się wyhamować na ścianie, nagle, jak uciecie hejnatu z Wieży Mariackiej, bez szkody dla ściany. To się musi zarysować* – tłumaczył obrazowo marszałek Hołownia, który też się zgłosił do konkursu. Spontanicznie, na spotkaniu w Jędrzejowie, i nawet *nie miał pewności, czy będą klaskać*. Zapowiedział przy tym, że będzie kandydatem niezależnym, bo wprawdzie ma partię, ale jest jej szefem, więc nikt mu nie będzie mówił, co ma robić. Wbrew pozorom to nie jest taki głupi argument: od czasów Aleksandra Kwaśniewskiego nie mieliśmy prezydenta, który powiedziałby szefowi swojej partii, że może mu skoczyć na puklerz – co skądinąd wiąże się z tym, że od czasów Kwaśniewskiego nie mieliśmy prezydenta, który wygrałby, startując z pozycji szefa partii. (Teoretycznie Lech Kaczyński był szefem PiS, ale – żeby zacytować prezydenta Warszawy – traktujmy się poważnie). Z czego płynie wniosek, że stanowisko prezydenta nie jest zbyt wysoko cenione w partyjnej nomenklaturze.

♦ A propos Kwaśniewskiego: były prezydent na 70. urodziny zrobił sam sobie prezent w postaci poparcia Radosława Sikorskiego. Mam w tej sprawie trzy uwagi... Po pierwsze, wszystkiego najlepszego! Po drugie, jak to możliwe, że Kwaśniewski ma 70 lat? Przecież przedwczoraj miał 41 i zostawał prezydentem. I po trzecie, rozumiemy, że tych polityków łączy Ukraina: jeden jej ustawiał rewolucję w 2004 r., drugi – w 2014 i generalnie, „jesteś odpowiedzialny za to, co oswoiłeś” – ale serio? Sikorski? To jest ulubiony kandydat ostatniego autorytetu lewicy? Facet, którego wielbiciele na spotkaniach pytają, czy w dalszym ciągu podtrzymuje swoją tezę, że trzeba zburzyć Pałac Kultury imienia Stalina? Ni stąd, ni zowąd przypomniał nam się dialog z Kongresu Kobiet, gdzie Radek Sikorski tłumaczył, że chce zburzyć PKiN, bo jego żona go nie znosi. *A co pańska żona życzyłaby sobie postawić na tym miejscu?* – zapytała uprzejmie Olga Lipińska.

♦ PKW podjęła decyzję o odebraniu PiS kasy z budżetu. Prawo i Sprawiedliwość ogłosiło zbiórkę publiczną, korzystając z najlepszych wzorców dyrektora Rydzka. Przewodniczący Błaszczak: *Podjęliśmy działania, aby nasza misja mogła być dalej kontynuowana, bardzo prosimy o regularne wpłaty, sumy oczywiście nie muszą być wysokie. Bardzo proszę o to, żeby regularnie wspierać finansowo Prawo i Sprawiedliwość, bo wspieranie Prawa i Sprawiedliwości oznacza rozwój naszego kraju*. Skarbnik Kowalczyk: *Przed wszystkim ważne jest to, żeby te wpłaty były systematyczne. Taką najlepszą formą systematyczności jest stałe zlecenie bankowe, bo wtedy, jak w pierwszy miesiąc ten przelew jest akceptowalny, to później nie musimy się zastanawiać, następny w kolejne miesiące niejako automatycznie przechodzi i wiemy, że on jest automatycznie akceptowany*. Prezes Kaczyński: *Jeszcze raz dziękuję bardzo serdecznie tym, którzy już nas wsparli. Prosimy o to, by to wsparcie było rozwinięte i kontynuowane, bo to jest jedyna szansa na to, by w Polsce można było zachować demokrację*. Na koniec prezes skostatował: *Żyjemy w tej chwili w stanie kompletnej anarchii... No, takiej dyktaturanarchii... Nie od dziś wiadomo, że anarchia mać pariadka*.

♦ Po tym, jak CBA zawiązała prezydenta Sutryka, odżył nieco przygasły temat Collegium Humanum. Przy okazji okazało się, że rektora tej prestiżowej uczelni reprezentuje – ktoś by inny – Ryszard Kalisz, toteż rektor właśnie opuścił areszt. Zapytany przez dziennikarza, czy to znaczy, że jego klient sypie, mecenas Kalisz odpowiedział: *Pan rektor wyjaśnia okoliczności dotyczące funkcjonowania szkoły i okoliczności dotyczące wydawania dyplomów tej szkoły i w ogóle prowadzenia studiów w tej szkole i wyjaśnia zgodnie z prawdą. Ale czy podaje kolejne nazwiska i podaje fakty, które pozwalają prokuraturze zatrzymać kolejne osoby?* – dopytywał się upierdliwy red. Morozowski. *Na podstawie tego, jak pan rektor wyjaśnia, prokuratura wyciąga wnioski, ustala fakty, później dokonuje połączenia tych okoliczności z innymi dowodami i na tej podstawie później przedstawia zarzuty innym osobom* – wyjaśnił mecenas. Mecenas Kalisz broni nie tylko dupy swoich klientów, ale też ich honoru.

♦ Minister spraw wewnętrznych i administracji, koordynator służb specjalnych Tomasz Siemoniak, minister sprawiedliwości Adam Bodnar oraz minister infrastruktury Dariusz Klimczak wspólnie wystąpili na konferencji prasowej, żeby ogłosić, że specjalnie do tego powołany międzyresortowy zespół ustalił, że jak ktoś zapierał się jak szatan i kogoś zabije, to pójdzie do pierdła na 10, a nie – jak dotychczas – na osiem lat. I jeszcze, że jak ktoś prowadzi, choć mu zabrali prawo jazdy, to teraz będzie można go za to posadzić na pięć lat, co jest dużym postępem w stosunku do wcześniejszych nowelizacji kk, gdzie najpierw podniesiono karę od jednego roku, potem do dwóch, a jeszcze potem do trzech. To nic nie zmieniło, ale teraz już będzie inaczej. Ministrowi Bodnarowi sugerujemy przypomnienie sobie terminu „populizm penalny”.

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Lipiec 2012 r.



Świętej Maryny

Rację mają feministki, że polszczyzna jest antykobieca. Zawody podłe mają końcówkę żeńską. Ta nauczycielka, sprzątaczką, kurwa, lekarka, złodziejka, laborantka, oszustka, krawcowa. Zarazem ta premier, minister, dyrektor, prezes, profesor, sędzia, kat, ambasador, marszałek. Powinno być: marszałka, ambasadorka, katka, sądząca, profesorka, prezeska, dyrektorka, ministerka, premierka. W radiu czasem lansują te żeńskie formy, ale z chichotem, co czyni „panią ministerkę” bardziej obraźliwym zwrotem niż „pani minister”. To skandal, kurwon tata! A nie kurwa mać.

Świętej Marii Magdaleny

22 lipca TVN nadawała obchody rocznicy masowego zabójstwa dokonanego przez pana Breivika w Norwegii. Tam młodzież przybyła na wyspę – scenę tragedii – i śpiewała, tańczyła, bawiła się, fetowała premiera. Dla naszych komentatorów z kraju wiecznej żałoby oni tam przybyli wyrazić smutek, uczcili, dali wyraz pamięci – no po prostu norweski Smoleńsk. Zawodowe łzępłaczki z TVN nie rozumieją, że zabawa w miejscu mordu oznacza szyderstwo z zabójcy, pokaz radości i woli życia, zwycięstwo rozbawienia nad żałobą. *Breivik, gówno znasz, nie damy się*.

Tenże 22 lipca, jak niektórzy jeszcze pamiętają, to symboliczny dzień narodzin Polski Ludowej. Stało się to 68 lat temu. Tego dnia (choć może że dwa dni później) przyjechałem z rodzicami do porodówki, czyli miasta Chelma wraz z IV Dywizją Piechoty im. Kilińskiego. Jej

dowódca, opasły gen. Kieniewicz, na balu prowadził poloneza odtworzonego potem w filmie Wajdy „Pociąg i diament”.

Dzień czy dwa dni później pojechalśmy do wyzwolonego właśnie Lublina. Szosa wiodła obok Majdanka. Esesmańska załoga pod strażą polskich żołnierzy układała w grobach trupy więźniów. Polscy gapie stali na nasypach wykopanej ziemi i rzucali kamieniami w Niemców. Miałem 11 lat. Rodzice dyskutowali, czy pozwolić mi wyjść razem z nimi z samochodu, żebym te stopy trupów zapamiętał na całe życie, czy też zakazać mi wyjścia, gdyż to za duży szok dla dziecka. Decyzja była kompromisowa: mam oglądać, ale nie z bliska. Młodzieńcy ordynans ojca, który miał mnie pilnować, zostawił podopiecznego i – jak to Żyd – pobiegł rzucać kamieniami. Dzięki temu sporo zobaczyłem.

Ten Majdanek o mało co nie uczynił mnie półsierotą. W Lublinie sądzono członków załogi z SS, a prowadzono ich do sądu pieszo. Tłum napierał na eskortę i rzucił kamieniami. Matkę wepchnięto w środek esesmanów i ledwo się wyrwała z tego towarzystwa, bardzo pokrwawiona. Zadowolona nie była.

Świętej Brygidy

Odwiedził mnie wysłannik producenta z Hollywood, mówiąc, że jego wytwórnia chce zrobić film o Jaruzelskim. Wajda robi bowiem film o Wałęsie. Będzie on wyświetlany tylko w kinach polonijnych. Rok później oni chcą wypuścić drogi kontrfilm o Jaruzelskim, który byłby wyświetlany w wielkich ki-

nach Ameryki i całego świata. Ponieważ polska historia nikogo nie obchodzi, musi to być coś z gatunku fantasy. Szukają pomysłu. Miałem go od razu.

Jaruzelskiego powinien grać chiński mistrz walk wschodnich ubrany w mundur z zielonych cekinów, a na piersiach wielki orzeł z białych cekinów. I oczywiście ciemne okulary. Ów Jaruzelski jest władcą skutego lodem kraju zamieszkanego przez lud pocziwy i bogobojny. Władca kocha się w pięknej bizneslumen. Prowadzi ona restaurację podającą zupę żółwiową. Codziennie rano pływa nago w akwarium z żółwiami. Ale żółwi jest coraz mniej i mniej, a przez to jej nagości coraz więcej widać. Aż widzimy, jak pływa z ostatnim żółwiem, bo całe ich pogłowie poszło na zupę.

Bizneslumen, uciekając ciężkozbrojnym stróżom, odwiedza kochającego ją Jaruzela i obiecuje mu się oddać, jeśli sprowadzi jej żółwie do Polski. Samoloty, statki i pociągi wiozą do mroźnej Polski zagłodzone greckie żółwie. Niektóre z nich uciekają, rozpraszają się i mutują w żółwie jadowite, a tymczasem autorka zup uprawia gorący seks z Jaruzelem. Najlepiej na łufie czołgu. Gdy greckie żółwie żeżarły w Polsce uprawy, łód zalegający kraj, bydlę i psy domowe, to zabrały się za ludzi. Najmądrzejsze gotowały zupę z całych rodzin. Wtedy Jaruzel ruszył zbrojnie na żółwie całą potęgą swoich wojsk i z miotaczami kolorowych laserów przebijających skorupę. Miał jednak ambicję, żeby generalissimusa żółwi pokonać własnoręcznie i żeby ukochana ugotowała mu z niego żurek na żółtziu.

Zauważyłem, że wysłannik Hollywood pilnie mnie nagrywa i co i raz kontroluje jakość nagrania. Wajda spali się ze wstydu, jeżeli jeszcze ma takie paliwo.

Świętej Jacquesy

Ponieważ Dorota Kania z „Gazety Polskiej” i inni grzebią w IPN, już teraz szukając haków na przodków osób żywych, służę wyręką.

Jestem synem członka PZPR i nauczycielki rosyjskiego. Nauki tego najpiękniejszego na świecie języka udzielała ona jednak tylko dla pieniędzy.

Mój starszy brat zabijałby akowców, ale to się nie stało przez przypadek: nie miałem i nie mam rodzeństwa.

Świętej Krystyny

Wczoraj umarł aktor Andrzej Łapicki, który pokonał mnie w wyborach do sejmu w 1989 r. Jako Solidarność wziął ponad 80 proc. głosów nie tylko w Warszawie, ale nawet w polskich placówkach dyplomatycznych w Korei Pn., Mongolii i Albanii, gdzie jedynymi wyborcami byli zesłani tam esbecy.

Z Łapickim walczyłem, głównie wypominając mu to, że swoim akasmitnym głosem czytał „stalinowskie” kroniki filmowe. W moich ustach nie była to przekonująca pretensja. Raczej należało krzyczeć: *Niech każdy gra rolę, którą zna*.

Jako aktor Łapicki był nazbyt gładki i jednakowy. Tabloidy przypisują mu romantyczny koniec życia. Nie zazdrościsz Łapickiemu. Dziewczyna – jakże to fatygująca... □

PAMIĄTKA SOLIDARNOŚCI



PRZEMINĘŁO Z WIATEREM

Rys. TOMASZ WATERS

PRASA ŚNIADANIOWA

- Poseł **Bartosz Romowicz** z Polski 2050 alarmuje, że krwiodawcy nadużywają wolnego od pracy. A mieli być honorowi.
- **Wymagania sprawnościowe** dla policji zostały obniżone. Słusznie, do umarzania postępowań nie trzeba żadnych sprawności.
- **Warner Bros.** sprzedaje dziesięć pojazdów typu Batmobil. Dla wszystkich polskich posłów w Parlamencie Europejskim nie wystarczy.
- **Watykan** chce wyciąć 200-letnią jodłę, żeby była świąteczną choinką. Watykan tradycyjnie bierze udział w konkursie na największego.
- **Portal Fronda.pl** alarmuje, że Kraków nie jest wolny od nadużywania alkoholu. Zagadka: gdzie jest najwięcej parafii zakonnych?
- **Papież Franciszek** oddał bezdomnemu Giuseppemu buty, które dostał w prezencie. Fajnie, że ich nie wystął dla głodujących dzieci w Afryce.
- Radiomaryja.pl apeluje o czytanie wcześniakom. **Tygodnik „NIE”** poleca się serdecznie.

MARTA M.

LISTONOSZ DONIOŚŁ

Szanowna Redakcjo

Do kurwy nędzy! Przestańcie ludzi używać określenia „babcie” dla kobiet w wieku emerytalnym! Jeszcze nie skończyłam obrabiać całego numeru, a już dwa razy (w dwóch felietonach) wpadłam na słowo „babcie” (w kontekście jw.).

Mam 65 lat, czytam Was od pierwszego numeru i włosy (farbowane) rwę z głowy za to sformułowanie.

My, starzy ludzie, jesteśmy trzonem Waszych czytelników i jak nas zaczniecie wkurwiać tymi dumnymi dyskryminującymi sformułowaniami, to przestaniemy Was kupować.

Babcia to ja jestem dla swoich wnuków, a nie dla Krajewskiego czy TTJ.

Wkurw mnie zatrzymał na 12 stronie, mam nadzieję, że na następnych nie natknę się znowu na to cholerne sformułowanie.

Jako lekarz pracowałam 35 lat i do głowy mi nie wpadło, żeby do starszej pani zwrócić się „babciu”...

Można? Można!

Z pozdrowieniami

EWA

Szanowna Redakcjo

W mojej opinii w Polsce rządzą i dalej rządzą prawnicy i historycy. Są oni absolwentami wysoko ocenianych uniwersytetów. Np. Wydział Prawa i Administracji Uniwersytetu Jagiellońskiego ukończyli: S. Piotrowicz (b. przewodniczący sejmowej komisji sprawiedliwości, w swoim życiu sługa 2 panów), B. Świączkowski (b. prokurator krajowy, inkwizytor dla niektórych sędziów), Z. Ziobro (człowiek o wątpliwej moralności i wiedzy), A. Duda (człowiek wypowiadający słowa, których znaczenia i skutków nie rozumie). (...) Jest dla mnie zastanawiające, że Rada Wydziału UJ dotychczas nie zabrała głosu w sprawie wymienionych powyżej absolwentów, zwłaszcza że jeden z nich nawet otrzymał stopień doktora. Przecież na tym Wydziale pracują m.in. prof. Z. Cwiakalski i prof. J. Władacki, ale też pracują (lub pracowali) prof. R. Terlecki (doceniciel na własnego ojca) i prof. W. Bernacki (b. wiceminister i pomocnik P. Czarńka). Sądzę, że powinność zajęcia odpowiedniego stanowiska przez Radę Wydziału UJ jest bezdyskusyjna. Prawnicze wydziały innych uniwersytetów (np. Po-

znań, Łódź, Lublin) też nie mają powodów do chwasty – ich absolwentów znajdziemy w Trybunale Przejściowej i w b. prokuraturze krajowej (np. D. Barski, Ł. Plebiak). Mam zatem prawo powątpiewać, że na polskich wydziałach prawa proces kształcenia nie potrafi wyeliminować ludzi o bardzo wątpliwych podstawach etycznych dla zawodu prawnika. Nie potrafi też wyeliminować z kadry nauczającej pracowników będących w wyraźnym konflikcie z wartościami, które są ujęte w proponowanym przez K. Estreichera motcie „Plus ratio quam vis”. (...)

Wśród polityków znajdziemy też pokaźną liczbę absolwentów uniwersyteckich wydziałów historii, którzy zapomnieli o szacunku dla źródeł i prawdy. Stali się politykami, wyznawcami polityki historycznej, fanami żołnierzy wyklętych. Jednak żaden dyplomowany historyk nie przyniósł i dalej nie przynosi większego wstydu dla tego zawodu niż A. Macierewicz (...).

W podsumowaniu muszę stwierdzić, że mam wątpliwości co do zdolności opisanych powyżej środowisk do usunięcia z nich takich czarnych owiec. Musi się chyba w szkolnictwie wyższym wiele zmienić, żeby takie środowiska były zdolne do samooczyszczenia.

Z szacunkiem dla Redakcji

– KRZYSZTOF KNAPIK

Opowieść o berlińskiej konferencji chciałabym zacząć od słów: *W cieniu wyborów prezydenta USA w Berlinie odbyła się Europejska Konferencja Przeciw Wojnie – Przeciw Wojnie Socjalnej*. Ale bądźmy poważni. Ruch pokojowy w Europie – i szerzej, na kolektywnym Zachodzie – jest dziś tak zmarginalizowany, że nie trzeba „historycznych” wyborów w USA, żeby schować go w cieniu. I tak mało kto go zauważa. Ale jednak istnieje.

Gegen den Krieg

Inicjatywa Przeciw Wojnie – Przeciw Wojnie Socjalnej powstała w Niemczech jako lewicowy protest przeciwko szaleństwu militarnemu, które ogarnęło socjaldemokratyczny jakoby rząd kanclerza Scholza po ataku Rosji na Ukrainę. Niemcy są z oczywistych przyczyn społeczeństwem szczególnie niechętnym bawieniu się w wojnę i bardzo wrażliwym na podżeganie wojennych nastrojów.

Absurdalność konceptu, iż dostarczanie coraz większej ilości broni w strefę konfliktu zbrojnego jest drogą do pokoju – jest w Niemczech szczególnie dobrze rozumiana.

Z drugiej strony, u korzeni ruchu legł protest (części) związków zawodowych wobec sankcji, które nie załamały gospodarki rosyjskiej, ale jako żywo dopierdoliły niemieckiej, gdzie utrata dostępu do taniej energii spowodowała recesję. Odbijającą się – niespodzianka – na jakości życia ludzi pracy. Po drugiej stronie tego równania są imponujące zyski przemysłu zbrojeniowego.

Już po powstaniu inicjatywy Przeciw Wojnie nastąpił atak Hamasu, który Izrael wykorzystał do rozpoczęcia czystki etnicznej wymierzonej w Palestyńczyków. Od tego czasu Ukraina i Gaza to dwa tematy koncentrujące uwagę pacyfistycznej koalicji, która dziś zrzesza organizacje, partie i aktywistów z Islandii, Włoch, Chorwacji, Norwegii, Austrii, Polski, Portugalii, Rumunii, Szwecji, Szwajcarii, Serbii, Hiszpanii, Niemiec, Francji, Belgii, Grecji i Macedonii. Zorganizowała parę solidnych demonstracji i kilka konferencji – ostatnia odbyła się w Berlinie w pierwszych dniach listopada.

Hasło inicjatywy – które, trzeba przyznać, dużo lepiej brzmi po niemiecku: *Gegen den Krieg – gegen den sozialen Krieg* – sygnalizuje problem, z którym w Polsce już mamy do czynienia, choć póki co nikt nie ma odwagi go zwerbalizować: wydatki na zbrojenia niosą ze sobą cięcia gdzie indziej. Owo „gdzie indziej” z zasady oznacza sferę usług socjalnych: pomoc społeczną, opiekę zdrowotną, oświatę, transport. Także wydatki prorozwojowe.

Listopadowa berlińska konferencja – z jednej strony – wpawiła mnie w nastrój cokolwiek ponury. Większość działaczy ruchu pacyfistycznego, z którymi rozmawiałam w kuluarach, żywi przekonanie, że wojna w Europie to kwestia trzech, może czterech lat. Bo – takie rozumowanie dominuje – wyścig zbrojeń, z którym mamy dziś do czynienia, musi skończyć się użyciem tej całej broni, którą państwa obu stron barykady wyprodukują, kupią, pozyskają. W swoim nieuleczalnym optymizmie sądzę, że nie musi: historia zimnej wojny dowodzi, że ludzkość jest w swej masie mądrzejsza, niż sądziły. Skoro wtedy uniknęliśmy zagłady atomowej – jest nadzieja, że teraz też nie wymordujemy się nawzajem, niezależnie od tego, jak szaleny są nasi przywódcy.

Nie tylko ulica i kanapa

Co więcej, berlińska konferencja była o tyle podnosząca na duchu, że – w odróżnieniu od sytuacji w Polsce, gdzie próżno szukać jakiegokolwiek antywojennego polityka z głównego nurtu – wzięło w niej udział kilkunastu parlamentarzystów z krajów UE: członek Bundestagu z Sojuszu Sahry Wagenknecht Andrej Hunko, poseł francuskiego Zgromadzenia Narodowego z grupy La France Insoumise Jérôme Lavigne, deputowany Korteżów Jordi Salvador Duch i członkini senatu Hiszpanii Laura Castel Fort. Niby niedużo – daje jednak nadzieję, że głos pokojowy w Europie nie jest ograniczony do garstki ulicznych aktywistów z lewackich kanap.

Uczestniczyłam ostatnio w dwóch lewicowych konferencjach na temat pokoju. Okazuje się, że i „pokój”, i „lewicę” można rozumieć bardzo różnie.

Tysiąc dni wojny, dwie lewice

Jest kilka zasadniczych wniosków, które wyniosłam z konferencji – tyleż z oficjalnych wystąpień, co z kuluarowych rozmów.

Pierwszy jest taki, że europejska antywojenna lewica ma odwagę – być może jako jedyna na świecie – otwarcie mówić o podwójnych standardach, jakie rządy kolektywnego Zachodu stosują w ocenie Rosji i Izraela: najgorliwsi przyjaciele „walczącej Ukrainy” są całkowicie ślepi na czystkę etniczną w Gazie. Najbardziej pryncypialni oredownicy najsurowszych sankcji wobec Rosji nie zająknęli się słowem w sprawie embarga na dostarczanie Izraelowi broni, którą wymordował już 43 tys. Palestyńczyków. Z czego – wedle danych ONZ – 70 proc. stanowiły kobiety i dzieci.

Po drugie – bo to niezwykle istotne wobec permanentnego hejtu, który wylewa się na wszystkich wątpiających w słuszność zbrojenia Ukrainy –

żaden europejski działacz antywojenny, jakiego znam, nie usprawiedliwia rosyjskiej inwazji. A tym bardziej jej nie popiera. Jesteśmy, do kurwy nędzy, pacyfistami; zarzucanie nam entuzjazmu dla militarnej agresji jest przejawem ekstremalnie złej woli. Lub głębokiego kretynizmu.

Mamy natomiast – i to powód całego tego szcucia – dość intelektualnej odwagi, żeby zamiast sygnalizowania antyrosyjskiej cnoty przyjrzeć się źródłom konfliktu. Tak, rosyjska agresja była nielegalna, była niemoralna, była także – jak się okazało – niemądra.

Nie była natomiast – wbrew obowiązującej na Zachodzie formule – „niesprowokowana”.

Jak ujął to na berlińskiej konferencji Peter Eisenstein, współzałożyciel norweskiej partii FOR (Fred Og Rettferdighet – Pokój i Sprawiedliwość) amerykański Żyd i norweski dokumentalista: *NATO sprowokowało tę wojnę, znając wiedząc, że dla Rosji tak długa granica z wrogiem sojuszem będzie nie do przyjęcia. To oczywiście, że rosyjska agresja jest nieakceptowalnym pogwałceniem prawa międzynarodowego. Ale można było jej uniknąć, gdyby Zachód wziął pod uwagę bezpieczeństwo Rosji.*

Ukraińcy nie chcą walczyć

Trzecia teza znajdująca szerokie poparcie w środowisku pacyfistycznym jest taka, że rzekoma „pomoc dla Ukrainy” – ta militarna – jest w istocie rzeczy cynicznym wykorzystywaniem tego kraju w geopolitycznej grze Zachodu na osłabienie Rosji.

Nikt – być może z wyjątkiem prezydenta Dudy – nie wierzy, że Ukraina może wygrać na polu bitwy, odzyskać wszystkie zagarnięte tereny z Krymem włącznie. Nie wierzą w to też Ukraińcy. Wycieńczeni trwającą od tysiąca dni wojną, rozpaczliwie tęskniący za normalnym życiem, umęczeni łapankami na rekrutów w klubach i knajpach – opowiadają się, w wyraźnej większości, za pokojem.

Liczba tych, którzy uważają, że Ukraina powinna walczyć aż do zwycię-

stwa, spadła z 73 proc. w pierwszych miesiącach wojny do zaledwie 38 proc. w najnowszym sondażu Gallupa. Odsetek zwolenników rozmów pokojowych i jak najszybszego zakończenia wojny, nawet kosztem ustępstw terytorialnych, wzrósł w tym czasie z 22 do 52 proc.



Najbardziej pokoju pragną – niezaskakująco – ci, którym wojna przetraca się przez podwórkę: w regionach Doniecka, Charkowa, Zaporozża i Dniepropietrowska poparcie dla dalszych walk spadło do 27 proc. Ale i we Lwowie czy na Wołyniu nie jest przesadne – 43 proc.

I wreszcie czwarta teza, która pojawiła się na berlińskiej konferencji jest taka, że wojna na Ukrainie i to wsparcie Zachodu, z którego jesteśmy tak dumni – paradoksalnie popycha kolejne kraje w kierunku Rosji. Andrej Hunko – poseł do Bundestagu

i przewodniczący grupy Zjednoczonej Lewicy Europejskiej w Zgromadzeniu Parlamentarnym RE – był obserwatorem na wyborach w Gruzji. Tych, które zachodnie media okrzyknęły sfalszowanymi przez ruskich.

Hunko ma zupełnie inne obserwacje: różnego rodzaju incydentów było wyraźnie mniej niż w poprzednich gruzińskich wyborach (Andrej bywa obserwatorem wyborów od 2010 r.) – natomiast bardzo silny i trafiający do wyborców był przekaz partii rządzącej. Gruzjińskie Marzenie wypuściło serię plakatów, na których po jednej stronie były czarno-białe zdjęcia ze zrujnowanej Ukrainy – a po drugiej, kolorowe fotki kwitnącej Gruzji. Z hasłem: „Nie wojnie! Wybierz pokój”. Czy była to forma straszenia? Niewątpliwie. Czy obywatele Gruzji mają prawo bać się wojny – i nie chcieć stać się pionkiem w rozgrywce między Rosją i Zachodem? Czy też jest to przejaw godnego pogardy tchórzostwa?

Europejska pacyfistyczna lewica ma w tej sprawie opinię zasadniczo różną od lewicy polskiej – nawet tej, która zaczynała swój polityczny żywot na antywojennych i antynatowskich pozycjach.

Pacyfiści nie dorośli do wojny

Niedługo po konferencji berlińskiej – na której byłam jedynym przedstawicielem Polski – partia Razem za pieniądze Fundacji im. Róży Luksemburg zorganizowała debatę pt. „Lewicowe spojrzenia na pokój i bezpieczeństwo”. Wzięli w niej udział: poseł Maciej Konieczny z Razem, Li Andersson z fińskiego Sojuszu Lewicy (będącego skądinąd sukcesorem Komunistycznej Partii Finlandii), poseł Helmut Scholz z Die Linke oraz Julia Jurczenko z ukraińskiej formacji o nazwie Socjalny Ruch.

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

15 listopada kanclerz Niemiec Olaf Scholz zatelefonował do Władimira Putina, a wydarzenie natychmiast skomentował na portalu X Donald Tusk: *Przed chwilą odebrałem telefon od kanclerza Scholza, który zdał mi relację z rozmowy z W. Putinem. Z satysfakcją przyjąłem informację, że kanclerz nie tylko jednoznacznie potępił rosyjską agresję, ale że powtórzył polskie stanowisko: nic o Ukrainie bez Ukrainy*. Następnego dnia, gdy Scholz skrytykował ośrodki medialne i polityczne kolektywnego Zachodu, Tusk napisał (także na X): *Nikt nie powstrzyma Putina telefonami. Wczorajszy nocny atak, jeden z największych w tej wojnie, udowodnił, że dyplomacja telefoniczna nie zastąpi rzeczywistego wsparcia całego Zachodu dla Ukrainy*. Wódz uśmiechniętej Polski, król Europy i mistrz prawdy etapu w jednej osobie.

Calkowite fiasko projektu Legion Ukraiński, czyli oddziału ochotników złożonego z Ukraińców, który miał zostać utworzony i szkolony w Polsce. (...) Z ustaleń reportera RMF FM wynika, że do szkoleń gotowych jest niespełna 30 osób. W praktyce mowa o braku chętnych. To oznacza, że szkolenia w Polsce nie ruszyły i nie będzie ich, jeśli ta sytuacja będzie się utrzymywać – donosi radio RMF FM. Kto by się spodziewał, że Ukraińcy, którzy uciekli do Polski przed mobilizacją, nie będą gnać się do ukraińskiej armii?

Prezydenckie prawyborby w Koalicji Obywatelskiej (w chwili zamykania tego numeru „NIE” – wciąż nierozstrzygnięte) do czerwoności rozgrzewają portal X. Ostatnio stronnicy Rafała Trzaskowskiego szeroko rozkolportowali, opublikowany dekadę temu, artykuł Anne Applebaum o ukraińskim nacjonalizmie: *[Ukraińcy] potrzebują więcej okazji, przy których będą mogli krzyknąć „Sława Ukraini – Herojam sława”*. Tak, to był slogan kontrowersyjnej Ukraińskiej Powstańczej Armii w latach 40. ubiegłego wieku, ale został przystosowany do nowej sytuacji. I oczywiście

muszą przełożyć te emocje na prawa, instytucje, system sądowniczy i ośrodki szkolenia policjantów. I pisała to żona (ówczesnego i obecnego) ministra spraw zagranicznych RP.

Niezwykle interesujący artykuł pt. *Po tysiącu dniach wojny rosyjska gospodarka wciąż ma się dobrze*. Czym uderzyć w Putina? zamieściła „Gazeta Wyborcza”. Zacytujmy obszerniejszy fragment: *Od maja 2022 r. tylko Międzynarodowy Fundusz Walutowy i Bank Światowy 11 razy zmieniały prognozy wzrostu rosyjskiego PKB. Za każdym razem je podnosiły. W latach 2022–24 PKB Rosji zgodnie z zapowiedziami zwiększy się o 5,4 proc., realne dochody ludności – o 17,5 proc., wartość eksportu towarów zmniejszy się tylko o 13,2 proc. (...) Nie można liczyć na to, że w najbliższych 2–3 latach, czyli w czasie krytycznym dla konfliktu z Ukrainą, Rosja zderzy się z kryzysem ekonomicznym, który mógłby zmienić wynik wojny. Dlaczego [zachodnie] prognozy okazały się błędne? Przyczyn jest kilka. Z jednej strony były bardzo niskiej jakości, bo ich autorzy przyjmowali za rzeczywistość swoje życzenia. Ekspertci zachodni zapewniali, że gospodarka Rosji została znów upaństwowiona, podporządkowana władzy, skostniała jak w czasach ZSRR, a przez to jest tak samo nieodporna jak radziecka. Również rosyjscy opozycjoniści tak bardzo chcieli pocieszyć swoich zwolenników perspektywą rychłego krachu, że w każdym najmniejszym problemie widzieli początek bliskiej katastrofy gospodarczej. Doradcy i urzędnicy pracujący dla rządów zachodnich uważali, że powinni byli upewniać swoich zwierzchników, iż sankcje wprowadzone nie na próżno. W ten sposób stworzono niosący nadzieję, lecz kłamliwy obraz. Dodajmy, że obraz ten od przeszło dwóch lat pokazywała swym czytelnikom „Wyborcza”*.

Interesującą informację przesłał nasz Czytelnik. Jak donosi magazyn „Hotelarz”: *Ukraiński koncern paliwowy OKKO Group rozpoczął budowę nowego, ogromnego ośrodka narciarskiego GORO Mountain Resort w regionie Lwowa. Poza 41 trasami narciarskimi i nowoczesnymi wyciągami ma on dysponować także 25 hotelami z ponad pięcioma tysiącami pokoi. Calkowita wartość projektu wyniesie 1,5 mld dolarów. W końcu na wojnie najważniejsza jest dobra zabawa*.

MAREK SANOWSKI
Ukraina.tygodniknie@gmail.com

Obywatel Przywieczerski

List otwarty do Ministra Sprawiedliwości Profesora Adama Bodnara

Pelen uznania dla stylu sprawowania funkcji rzecznika praw obywatelskich i z nadzieją na przywrócenie względnej praworządności w Rzeczypospolitej w Pańskiej aktualnej misji ministra sprawiedliwości ośmielam zwrócić się do Pana Profesora z alarmem obywatelskim w sprawie Dariusza Przywieczerskiego, który jako *mózg afery FOZZ* został w 2005 r. skazany na trzy lata i sześć miesięcy więzienia przez *sąd niesprawiedliwy* – co stwierdził w swoim wyroku Europejski Trybunał Praw Człowieka.

Prawo do ogłaszania alarmu uzurpuję sobie w związku z faktem, iż od ćwierćwiecza z górą zajmuję się jako dziennikarz aferą FOZZ, którą Pański poprzednik na stanowisku, min. Zbigniew Ziobro, nazwał *matką wszystkich afer*.

W związku z moją pracą nad wyjaśnieniem tej właśnie afery w 2003 r. w procesie z powództwa braci Lecha i Jarosława Kaczyńskich uznany zostałem za oszczercę i zobowiązany do zapłacenia wszystkich kosztów sądowych oraz ogłoszenia stosownych przeprosin na łamach „Gazety Wyborczej”. Bracia Kaczyńscy oskarżyli mnie jako autora książki „Po drugiej stronie lustracji”, zawierającej spowiedź skruszonego aferzysty Clifia Pineiry, będącego jednym z bohaterów afery FOZZ. W książce Pineiro przyznał się m.in. do wręczenia wiceprezowi PC Adamowi Glapińskiemu walizeczki z 400 tys. dolarów „zafarbowanych” przez FOZZ, na potrzeby *partii braci Kaczyńskich*.

Jarosław Kaczyński zachował pokorową twarz, kiedy w śledztwie czworo pracowników firmy Cliff mówiło o upychaniu dolarów do neseserka. Teoretycznie jest możliwe, że Glapiński pieniądze otrzymał i nie przekazał dalej, ale wówczas wiceprezes Porozumienia Centrum zawiódłby zaufanie braci i nigdy nie zostałby prezesem NBP.

Wyroku sądowego nie wykonałem, braci Kaczyńskich nie przeprosiłem, nie uiściłem wpłaty na rzecz fundacji dobroci dla zwierząt „Miś”, a co najważniejsze, nie zapłaciłem również kosztów sądowych. I stał się cud. Za tak bezczelne zachowanie nie spadł na mnie żaden grom z nieba, co w mojej opinii wynikało z faktu, iż cała ta sądowa batalia była dla prezesa Kaczyńskiego wybitnie niewygodna.

Jarosław Kaczyński przyprowadził do sądu świadka Stanisława Rojka, skarbnika Porozumienia Centrum. Wcześniej Rojek wystąpił w trzyczęściowym filmie dokumentalnym Witolda Krasuckiego o aferze FOZZ zatytułowanym „Dramat w trzech aktach”, gdzie wypowiedział jedno tylko zdanie: że owszem, przyjmował od Clifia Pineiry pieniądze, ale nie była to korupcja, bo donator niczego od partii się nie domagał. W sądzie natomiast Rojek twardo oświadczył, że od Pineiry nie przyjął ani jednego centa, ani jednej złotówki.

Film Krasuckiego zdjęto z programu TVP przed wyemitowaniem trzeciej części, a całość schowano w sejfie w randze „półkownika”. Poprosiłem sąd o przyjęcie kasety VHS z nagraniem tego dokumentu jako dowodu w sprawie. Wysoki Sąd przyjęcia dowodu kłamstwa sądowego Kaczyńskiego i jego skarbnika Rojka kategorycznie odmówił – ale też nie wysłał do mnie komornika po odbiór kosztów sądowych. Co dziwi tym bardziej, że Jarosław Kaczyński już wówczas miał sprawiedliwość po swojej stronie.

Pozwalam sobie na ten przydługi wstęp, aby zilustrować moje dzienni-

karskie zaangażowanie w wyjaśnianie afery FOZZ, w której Dariusz Przywieczerski otrzymał wyrok zakwestionowany w 2018 r. przez Trybunał w Strasburgu, który stwierdził, iż sędzia Kryże, przewodniczący składowi orzekającemu, dopuścił się niedopuszczalnego lobbingu.

Tym, którzy nie pamiętają, kim był Andrzej Kryże – przypominam: to sędzia, który w marcu 1980 r. skazał Bronisława Komorowskiego, Andrzeja Czumę i Wojciecha Ziemińskiego za publiczne stwierdzenie, że PRL nie jest państwem niepodległym i zorganizowała w Warszawie 11 listopada 1979 r. obchodów Święta Niepodległości. W nowej Polsce sędzia Kryże wykazał nową dyspozycyjność i stał się wiernym żołnierzem w armii Jarosława Kaczyńskiego, gdzie zrobił szybką karierę na prześladowaniu postkomunistycznych wrogów partii braci Kaczyńskich; dwukrotnie został w rządach PiS wiceministrem sprawiedliwości.

W 2001 r., kiedy przewodniczącą składowi orzekającemu w sprawie afery FOZZ Barbara Piwnik objęła tekę ministra sprawiedliwości w rządzie Leszka Millera, sędzia Kryże skwapliwie przejął prowadzenie sprawy, mimo iż pracował poza wydziałem karnym, w którym toczył się proces FOZZ; został także wyznaczony poza normalną kolejką przydzielania spraw. Kiedy okazało się, że procesowi grozi przedawnienie, Kryże współpracujący z postami Prawa i Sprawiedliwości wypromował w sejmie specustawę o szczególnym jednorazowym wydłużeniu terminu przedawnienia w tej właśnie sprawie. Początkowo sędzia twardo wypierał się współuczestnictwa w procedowaniu ustawy wymierzonej w podsądnych w procesie, któremu przewodniczył, ale zmiękł, gdy pokazano mu listy obecności w sejmowej komisji.

Współpracę sędziego Kryże przy sejmowym procedowaniu ustawy trybunał w Strasburgu uznał za niedopuszczalny lobbying. Między innymi ten lobbying dał trybunałowi asumpt do przyznania Dariuszowi Przywieczerskiemu 5 tys. euro odszkodowania

za to, że sądzony był z naruszeniem art. 6 Konwencji o Prawach Człowieka.

Wbrew orzeczeniu trybunału w Strasburgu, polski Sąd Najwyższy w orzeczeniu z dnia 26 lutego 2019 r. postanowił sprawy FOZZ, osądzonej przez sędziego *wadliwie osadzonego*, nie wznowiać, a kosztami procesowymi obciążyć Przywieczerskiego.

W dość pokrętnym uzasadnieniu SN stwierdził, iż *potrzeba wznowienia postępowania karnego zachodzi wtedy, gdy przedmiot rozstrzygnięcia Trybunału dotyczy głównego nurtu procesu, a charakter i zakres stwierdzonych w jego toku uchybień w istocie podważa słuszność merytorycznego rozstrzygnięcia...*

Wątek Przywieczerskiego w istocie nie dotyczy *głównego nurtu procesu* i jest jeszcze bardziej uboczny, niżli wątek byłego ministra finansów Leszka Balcerowicza i członka rady nadzorczej FOZZ Dariusza Rosatiego, którzy z racji sprawowania funkcji kontrolnych ponoszą przynajmniej śladową odpowiedzialność za bałagan i nadużycia w funduszu. Ale względem indywidualnych praw człowieka, jakim pozosta-



je obywatel Przywieczerski, potrzeba wznowienia postępowania karnego w pierwszej instancji jest fundamentalna i pilna.

Gdyby jednak SN zdecydował o nadzwyczajnym wznowieniu sprawy Przywieczerskiego, w wznowieniu musiałyby zostać także poddane sprawy pozosta-

łych oskarżonych w procesie FOZZ, w którym o karze orzekł *sędzia niesprawiedliwy* Andrzej Kryże – a to dla jurysprudencji polskiej byłaby totalna katastrofa, zgola armagedon. SN wybrał przeto mniejsze zło kosztem dobra wyższego.

Przypominam: Przywieczerski nie mógł zdefraudować od 2 do 8 miliardów dolarów ponieważ na koniec wszystkie niedobory w kasie FOZZ oszacowano na 346 mln zł. Przywieczerski nie mógł ukraść z FOZZ ani jednego dolara, ponieważ w chwili, gdy z byłym dyrektorem generalnym FOZZ Grzegorzem Żemkiem zakładał spółkę Trust, w dyrekcji FOZZ rządził już likwidator. Z podanych wyżej powodów Przywieczerski nie mógł też być *mózgiem afery FOZZ*.

Wdaję się w obronę fałszywie oskarżonego i skazanego przez wadliwie obsadzony sąd Dariusza Przywieczerskiego tylko z czystego obowiązku dziennikarskiego, a nie dlatego żebym nosił w sobie jakieś postkomunistyczne sentymenty, na co mam dowód w postaci „kombatanckiej” legitymacji nr 15444 osoby represjonowanej w PRL z powodów politycznych. Sprawa „Napoleona biznesu” jest bowiem koronnym argumentem potwierdzającym słuszność wszelkich drastycznych działań naprawczych ministra sprawiedliwości Adama Bodnara, które zmierzają przecież ku temu, żeby sprawy, podobne do casusu Dariusza Przywieczerskiego, w demokratycznym i praworządnym polskim państwie nie mogły się przydarzać.

JAKUB KOPEĆ – emerytowany dziennikarz „Trybuny”

PLURALIS MAIESTATIS

Nożyce

Nie czarujmy się: bycie Żydem w Polsce nadal nie jest proste

W Rokietnicy (16 listopada br.) minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski, którego ambicją jest objąć fotel prezydenta RP, scharakteryzował przyszłego posiadacza owego mebla – w domyśle samego siebie. Otóż pełni on rolę *ministra spraw zagranicznych i trochę obrony na turbodoładowaniu*. [za wp.pl]. Rewelacyjne perspektywy dla narodu: najpierw uderzenia wody sodowej Dudy, teraz turbodołowania Sikorskiego.

Czy ja coś przeoczyłam? Mamy już w Polsce system prezydencki? Zawsze wydawało mi się, że prezydent ma: ładnie wyglądać, ładnie pachnieć, ładnie ścisnąć dłonie, ładnie się uśmiechać. Podpisywać to, co mu kurtuazyjnie konstytucja nakazuje podpisać. Nie mieć zmałowanej politycznie wody, a ją oczyszczać. Wyrażać własne zdanie, jeśli nie przekracza ram, których przekroczenie zaowocowałoby kryzysem dyplomatycznym z dowolnym państwem albo wewnątrz rodzimego kraju. Co zbyt często zresztą idzie w parze. Prezydent powinien być mało ambitny, acz uroczy. I trzymać temperament na wodzy. Radziu, nie jesteśmy już w Afganistanie!

Tymczasem ledwie parę dni temu Sikorski zapiecił się w programie Moniki Olejnik, kiedy ta zadała pytanie: *W „Tygodniku Powszechnym” przeczytałam o tym, że dla członków KO problemem jest pochodzenie pana żony. Co by pan odpowiedział autorowi „Tygodnika”?*

Szef MSZ zamiast odnieść się do jak najbardziej istotnego pytania, szarpnął się na pozornie inteligentną ripostę: *Ja bym powiedział, że jest już świecką tradycją, że pierwszymi damami powinny zostać osoby pochodzenia żydowskiego*. Pozornie, gdyby bowiem Duda kandydował z partii innej niż PiS, o żydowskim pochodzeniu Agaty Kornhauser ćwierkałyby wszystkie wróble. I rozważały – w bolesny dla pierwszej damy sposób – konotacje z tym związane. Nakazano zamknąć się ptakom, a przy okazji narzucono i czar milczenia na Dudową. Sikorskiemu temperamentu nie brakuje, ale pragmatyzmu to na pewno. Dał zresztą temu wyraz i w liście, który napisał do działaczy KO i upublicznił: *Moja żona, Anne Applebaum, świadomie*

i dobrowolnie wybrała Polskę jako swój dom. Przyjęła polskie obywatelstwo i nauczyła się naszego trudnego języka. Nikt i nic jej tej polskości nie odbierze. Byli już tacy, którzy uważali, że polskie obywatelstwo, znakomita znajomość polskiego języka, przyjęcie polskiego nazwiska i dziki polski patriotyzm gwarantują im polskość. Mylili się. Odebrano im polskość, a zbyt, zbyt często – makabrycznie często – odbierano im i życie. Jeśli coś jest świecką tradycją co niektórych Polaków, to antysemityzm właśnie. Olejnik walnęła w stół, a nożyce się odezwały.

Do KRRiT płyną skargi o *wykorzystywanie stereotypów antysemickich* przez Olejnik. A sam Sikorski na platformie X zawodzi: *Od TVN i Warner Bros./Discovery żądam przywrócenia standardów dziennikarskich*.

Ja rozumiem, że jak robi się, co może, aby jeszcze bardziej podkurwić rosyjskiego niedźwiedzia, ma się syna Tadeusza Oktawiana Sikorskiego, będącego podoficerem w Cyber Corps USA, a nawet pierdołnęło się swego czasu, opowiadając o relacji z rzecznym Tadeuszem Oktawianem: *Moje serce i obowiązki są zatem w Polsce, ale moim interesem jest również utrzymanie dostatności i pewności Ameryki, aby pozostała wierna swoim sojusznikom* (lutu 2024, NY – spotkanie z Atlantic Council) – to mogło zabołec, że w proamerykańskim, a nawet amerykańskim Tefalenie zamiast oczekiwanych kwiatów i czekoladek dostało się kosę w nerkę.

Sęk w tym, że Olejnik zadała niewygodne dziennikarskie pytanie, a histeryczna farsa zaczęła się później. Proszę zauważyć, że użyłam przymiotnika „niewygodne”, a nie „nietaktowne”. Pierwsze odnosi się do ewentualnie niewygodnej sytuacji podczas wyborów w kraju, gdzie byli szmalcownicy. Jedwabne, pogrom kielecki, rok 1968, a niedawno antysemickie zagrywki w Kaliszu. Plus jazdy z ostatniego roku wywołane dramatami na Bliskim Wschodzie. A mówię o zjawiskach co bardziej widowiskowych, pomijając tzw. antysemickie ekscesy dotyczące życia codziennego polskiego Żyda – w Polsce.

Gdybym użyła przymiotnika „nietaktowny”, który słyszę tu i ówdzie w komentarzach, to jakbym przyznawała, że żydowskość jest wciąż piętnem. A jest? W Polsce na pewno tak.

Choć niekiedy zdaje się, że antysemityzm w kraju nad Wisłą stał się już rutyną, przez co coraz mniej zwraca się nań uwagę. I dlatego w sumie to dobrze, że Olejnik pierdołnęła w stół, a nożyce dały odzew.

IZABELA SZOLC

Sikorski jest niewątpliwie bardziej wyrazisty od Trzaskowskiego. Pytanie, czy to dobrze?

Prezydent Radek?

Wkraczając do wyścigu o platformianą nominację w wyborach prezydenckich, Radek Sikorski bezsprzecznie ożywił tę nudną konkurencję, zdominowaną przez faceta, którego portret przypomina opis manekina krawieckiego. Zanim aktyw partyjny rozstrzygnie o losach kandydatów, przyjrzyjmy się Radkowi.

Nie uciekniemy od fizyczności kandydata. I od porównań z prezydentem obecnym, by nie zagłębiać się zbyt daleko w historię. Wiem, materiał porównawczy słabiutki, ale innego nie mamy pod ręką. Nic się na to nie poradzi, ludzie jednak świat postrzegają obrazami i nie jest im obojętne, czy ich prezydent wzbudza w nich zażenowanie.

Pod tym względem Radek Sikorski dysponuje warunkami zewnętrznymi, które pozwalałyby mu reprezentować Polskę bez wywoływania rumieńców wstydu u współrodaków. Wzrost pozwala mu nie czepiać się mównicy łapkami po to, by zza pulpitu ktoś go zobaczył. Jak siądzie, to nie mająt nożkami w powietrzu, figura nie woła o zabiegi pielęgnacyjne, garnitur leży na nim jak trzeba... Słowem: obleci. Niby podobnie do obecnego prezydenta, a jednak jakoś lepiej. Przy najmniej nie ma tych tendencji do zadzierania podbródka à la Duce, robienia w przemówieniach irytujących przerw, które każą zgadywać, czy to wyreżyserowana pauza, czy też zapominał, o czym gada. Sikorski wypowiada się w miarę normalnie. Mówię oczywiście o formie, a nie o zawartości. Od siebie tylko dodam, że jego wiążysta powinien raz na zawsze zabronić mu się szeroko uśmiechać, bo wygląda wtedy, jakby pluskwę rozgrzył. No i trzeba by nieco popracować na fryzurą, bo – przykro to powiedzieć – przypomina stylizację gościa, który z grzywki i wąsika uczynił swój znak rozpoznawczy 90 lat temu.

Mąż swojej żony

Droga Sikorskiego do wielkiej polityki wiodła przez młodzieńczą walkę z komunizmem, która nabrała właściwego kształtu dopiero po wyjeździe za granicę. Wtedy też brylant Sikorskiego został oszlifowany przez brytyjskich jubilerów, którzy nie takie kamyczki doprowadzali do stanu użyteczności dla Imperium Brytyjskiego.

Na turystycznym paszporcie wyjechał do Wielkiej Brytanii, gdzie w 1981 r. poprosił o azyl i go otrzymał, studiował na Oksfordzie, bawił się jak król, by wyjechać do Afganistanu w 1986 r. jako korespondent wojenny znanego tygodnika „The Spectator”. Jak sam informował, był tam obiektem zainteresowania polskich służb – a jak ktoś chce wierzyć, że pojechał do Afganistanu, nie mając nic wspólnego z brytyjskimi służbami, to gratulujemy dziecięcego optymizmu.

W Afganistanie był trochę dziennikarzem, a trochę żołnierzem. W wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” dał do zrozumienia, że strzelał do ludzi, czyli Rosjan, ale dziennikarka taktownie nie naciskała, by rozwinął temat.

Gdy komunizm spadł z rowerka, Sikorski powrócił do Polski owiany sławą aktywnego, bo z bronią w rękę, bojownika z czerwonymi. Sława tym większa, że wojna została wygrana, a Sikorski mógł brylować na salonach jako człowiek znający języki, mający kontakty i doświadczenie, różnora-kiego zresztą rodzaju.

W 1992 r. ożenił się z Anne Applebaum, amerykańską dziennikarką i autorką rozlicznych książek, w których m.in. opisywała Rosję w różnych jej etapach, za to nigdy pozytywnie. Tu trzeba się na chwilę zatrzymać, bowiem nie powinno być nam obojętne, kto będzie ewentualnie pełnił rolę pierwszej damy.

Applebaum pochodzi z wpływowej żydowskiej rodziny powiązanej z pravicowymi kłęgami amerykańskiej polityki. Ma doświadczenie w bywaniu na salonach, ośmienie- na nagrodami za działalność dziennikarską, w tym Pulitzerem za książkę „Gułag”. Ostatni raz widziałem tę pozycję w moskiewskiej księgarni, bardzo ładne wydanie. W tym konkretnym przypadku rubelki raczej jej nie szmerdziały.

Z potencjalną pierwszą damą jest ten oto kłopot, że – o ile obecna milczy jak złota rybka, gdy trzeba byłoby

coś powiedzieć – to Applebaum niestety mówi, i to dużo. Jej wypowiedź w TVN24 o tym, że art. 5 paktu nie musi oznaczać, że Stany Zjednoczone będą zawsze bronić Polski, wprowadziła niemało zamieszania, choć przecież nie skłamała nic a nic.

Równie spektakularnie wybrzmiała jej pochwała ukraińskiego nacjonalizmu, którego oblicze, szczególnie w kontekście rzezi wołyńskiej, wielu Polaków odbiera jednoznacznie. Applebaum w artykule dla magazynu „The New Republic” pisała ze wzruszeniem, że Ukraińcy *potrzebują momentów takich, jak gdy o północy w sylwestra ponad 100 tys. ludzi na Majdanie śpiewało hymn Ukrainy. Potrzebują więcej okazji, przy których będą mogli krzyczeć „Chwała Ukrainie – chwała jej bohaterom”*. Tak, to był slogan kontrowersyjnej *Ukraińskiej Powstańczej Armii w latach 40. ubiegłego wieku, ale został przystosowany do nowej sytuacji...* W ustach Żydówki określenie UPA jako organizacji *kontrowersyjnej* nabiera, przyznacie, szczególnego smaku.

Wreszcie ostatni jej występ przy okazji przyznania jej Nagrody Pokojowej Księgarzy Niemieckich wzbudził lekkie zdziwienie u ludzi z grubsza znających historię. Otóż o polskim wojsku walczącym i wyzwającym Polskę z nazistowskiej okupacji powiedziała: *Tamta inwazja miała miejsce siedemdziesiąt lat wcześniej, w 1944 roku. Jej cechą charakterystyczną też byli sowieccy żołnierze w polskich mundurach, wspierani przez prosoviecką partię komunistyczną, która udawała, że mówi w imieniu wszystkich Polaków, a także zmanipulowane referendum i wiele innych aktów politycznego oszustwa, mających na celu zmylenie nie tylko Polaków, lecz także sojuszników Polski w Londynie i Waszyngtonie*.

Tak więc, gdyby Polska została dotknięta wyborem na prezydenta Radka Sikorskiego, musimy być gotowi na szeroko zakrojoną aktywność pierwszej damy, co da okazję do mnóstwa facecji w Polsce i na całym świecie.

Minister wielu rządów

Ale wróćmy do Radka. W przeciwieństwie do obecnego prezydenta jest otrzaskany w sferach rządowych. W 1992 r. był wiceministrem obrony w rządzie Olszewskiego. W 1998 r. został wiceministrem spraw zagranicznych u Bronisława Geremka, w gabinecie Buzka. Po dojściu PiS do władzy, w 2005 r., wrócił do MON już jako konstytucyjny minister w rządzie Marcinkiewicza. Szybko jednak zdążył pokłócić się ze wszystkimi: ze Zbigniewem Wassermanem, Antonim Macierewiczem i prezydentem Lechem Kaczyńskim. Niezależnie od tego, na ile zasadne były te konflikty, wysokie stanowisko wyraźnie nie budzi w nim skłonności do kompromisu i gry zespołowej. Tymczasem lepiej by było, gdyby pałac prezydencki nie był wylęgarnią permanentnego konfliktu.

Po pożarciu się ze wszystkimi świętymi w PiS-ie Radek zmienił sympatie i od 2007 r. zaczął kochać Tuska i jego drużynę, a swoich byłych towarzyszy – zwalczać z żarliwością neofity. Kpił z proamerykańskich kierunków polityki formacji Kaczyńskiego. Niejednokrotnie wypowiadał się co najmniej wstrząsająco na temat budowy amerykańskiej tarczy antyrakietowej w Polsce. Jako minister spraw zagranicznych od 2007 r., już z ramienia PO, był uprzejmy wątpić w sens relacji polsko-amerykańskich, czemu dał wyraz w rozmowach w restauracji Sowa i Przyjaciele.

Bullshit, skonfliktujemy się z Niemcami, Francuzami... Bo zrobiliśmy łaskę Amerykanom. Frajerzy, kompletni frajerzy. Problem w Polsce jest, że mamy płytką dumę i niską ocenę. Taką murzynskosć – mówił do Jacka Rostowskiego w pamiętnej rozmowie. *Wiesz, że*



RYS. PRZEMYSŁAW ZAMOJSKI

sojusz polsko-amerykański jest nic niewarty. Jest szkodliwy, bo daje poczucie bezpieczeństwa. Święte słowa – szkoda, że owo trzeźwe spojrzenie nie przekłada się na uprawianą przez Sikorskiego politykę.

Nawiasem mówiąc, na odcinku robienia laski sojusznikom Radek posiada niejaki osiągnięcia. Do historii przejdzie jego wystąpienie dla Niemieckiego Towarzystwa Polityki Zagranicznej: *Mniej zaczynam się obawiać niemieckiej potęgi niż niemieckiej bezczynności. Niemcy stały się niezbędnym narodem Europy. Nie możecie sobie pozwolić na porażkę przywództwa...*

W 2014 r. Radek Sikorski znalazł się na Ukrainie. Według Wikipedii,

został poproszony przez Catherine Ashton, aby rozpozczął misję dyplomatyczną w Kijowie. To doprawdy piękna nazwa na funkcję jednego z nadzorców przewrotu rządowego, który wybuchł – jak głoszą bajki i legendy – żywiłowo i zupełnie nieprzewidzianie,

bo ukraiński lud miał dość rządów Wiktora Janukowycza. Sikorski, razem z innymi przedstawicielami UE, doprowadził do podpisania umowy między prezydentem a protestującymi na Majdanie i przedstawicielami partii opozycyjnych. Rosyjski przedstawiciel przytomnie swojego podpisu

pod dokumentem nie złożył. Janukowycz wierzył w szczerą porozumienia i siłę podpisów sygnatariuszy ze strony Unii Europejskiej i wycofał siły porządkowe z ulic. Następnego dnia miał uzbrojonych demonstrantów w swojej siedzibie na ul. Bankowej, skąd salwował się ucieczką. Sikorski jest zdania, że uciekając, Janukowycz naruszył podpisane porozumienie; Janukowycz i jego środowisko uważają, że to wszystko było ukartowane, by dokonać przewrotu, a Sikorski łamie dane słowo jak wykładziki po obiedzie.

Zbigniew Parafronowicz i Michał Potocki na łamach Forsal.pl pisali: *Gdyby nie Sikorski i Steinmeier, Majdan byłby czysty. Były przygotowane milicyjne ciężarówki, zorganizowano miejsca w szpitalach i aresztach. Po wylapaniu radykałów z Majdanu chcieliśmy negocjować porozumienie z umiarkowaną częścią opozycji – opowiadał nam współpracownik administracji Janukowycza. – Ale uwierzylimy w dobre intencje Sikorskiego. Nikt po naszej stronie nigdy już mu nie zaufa.*

Radzę zwrócić uwagę na ostatnie zdanie. Zapewne dla Sikorskiego jest dziś powodem do chwały, ale ja na jego miejscu byłbym ostrożny z tym optymizmem. Ludzie po tamtej stronie Bugu miewają długą pamięć. Co, gdyby został prezydentem, mogłoby do niego wrócić w najmniej oczekiwanym momencie.

W każdym razie jedno nie ulega wątpliwości: Sikorski na Wschodzie nie ma dobrej opinii. Jeśli zaś idzie o niedotrzymywanie umów – będące w dzisiejszej liberalnej demokracji normą cywilizacyjną – to w 2014 r. nabrał niezbędnego w tej mierze doświadczenia.

Po sukcesie ukraińskim Sikorski odszedł z rządu i piastował stanowisko marszałka sejmu, następnie w 2019 r. zdobył mandat eurodeputo-

wanego. Po drodze zdarzyły się dwie ciekawe rzeczy.

Gadu gadu nocą, baju baju w dzień

W październiku 2014 r. Radek znowu narobił zamieszania. Poszło o opowieści, że Władimir Putin w trakcie spotkania z Donaldem Tuskiem w 2008 r. proponował polskiemu premierowi rozbiór Ukrainy. Zrobił się dym, więc Sikorski szybko ogłosił, że *zawiodła go pamięć*. W ten sposób Radek pokazał światu swoje inne oblicze – faceta, który nie panuje nad językiem, więc nie należy mu powierzać jakichkolwiek poufnych informacji. Dobitym tego przykładem był jego (szybko skasowany) wpis na X, gdzie dziękował Stanom Zjednoczonym za wysadzenie Nord Stream 2. Równie żręczne były jego usprawiedliwienia, gdy okazało się, że jest na żołdzie Zjednoczonych Emiratów Arabskich, od których otrzymuje co roku 93 tys. dolarów. *Za doradztwo przy międzynarodowej konferencji – jak napisali dziennikarze holenderskiego dziennika „NCR”. Przeanalizowali też wyniki głosowania Sikorskiego, co pokazało, że zajmuje on stanowisko przychylnie Emiratom i ich najwzierniejszemu sojusznikowi Arabii Saudyjskiej*. Sikorski wystosował wówczas list do naczelnego „NCR”: *Moje członkostwo w Radzie Doradczej Sir Bani Yas Forum nie miało absolutnie żadnego wpływu na moje głosowanie jako posła do Parlamentu Europejskiego.*

Really? Po rosyjskim ataku na Ukrainę w 2022 r. Sikorski wzmógł swoją aktywność na odcinku wspierania Ukrainy oraz swoją antyrosyjską retorykę. A jako minister spraw zagranicznych w trzecim rządzie Tuska wreszcie miał okazję wspomnianą retorykę podnieść do rangi oficjalnych wypowiedzi polskich władz.

No i stał się bardzo proamerykański. *Teraz potrzebujemy was w Europie Środkowej* – mówił w maju podczas wizyty w USA. Niemcy odeszli na drugi plan.

Wyznanie, że jego syn jest żołnierzem armii amerykańskiej, niewątpliwie dodało mu sznytu na amerykańskich salonach. Dla prezydenta RP ten fakt mógłby jednak być nieco kłopotliwy.

Obecne deklaracje Sikorskiego dotyczące bezwarunkowego zaangażowania się Polski po stronie ukraińskiej mniej odporni obserwatorzy mogliby uznać za gotowość do wciągnięcia naszego kraju w wojnę z Rosją, nawet bez udziału NATO. Jeśli wierzyć surmom bojowym brzmiałym we wszystkich polskich mediach, powinno to dodawać mu punktów w wyścigu do prezydenckiego stołka. Ale do majowych wyborów wiele na świecie może się zmienić i być może po raz kolejny Sikorski będzie musiał zmieniać kierunek poszukiwania sojuszników.

W swojej prawyborczej kampanii szef MSZ reklamuje się jako ten kandydat, który – w odróżnieniu od prezydenta Warszawy – ma *doświadczenie w sprawach bezpieczeństwa międzynarodowego, w sprawach związanych ze zwierzchnictwem nad siłami zbrojnymi*, toteż jest lepszy na trudne czasy.

I twardszy: *Ja już udowodniłem, nieskromnie mówiąc, że potrafiłem rosyjskiemu ambasadorowi parę słów prawdy między oczy powiedzieć, i to się niósł po całym świecie; miliony odślon* – chwalił się na jednym ze spotkań.

Tak sobie myślę, że prezydent mierzący swoją polityczną wagę twardością gadki i liczbą odślon może nie być tym, czego Polska potrzebuje w tych skomplikowanych czasach.

MACIEJ WIŚNIEWSKI

SŁOWO
CZERWONE

Ilekróć ludzie o prawicowych poglądach chcą powiedzieć, że coś jest złe, mówią po prostu, że jest lewicowe. A ja mam dokładnie odwrotnie. Prawica to samo zło, bo kojarzy mi się z wyzyskiem ludzi pracy, eksmisjami na bruk, negowaniem ocieplenia klimatu, ciemnotą, płaskoziemstwem. Oczywiście można mówić „konserwatyzm”, bo to elegancznie brzmi, ale to i tak postawa przeciwna postępowi społecznemu, a więc ciemniacka. Prawicowi są liberałowie, którzy utrzymują, że panujący system wyzysku i dominacji bogatych nad całą resztą oraz koncentracja bogactwa w rękach najbogatszego procenta jest OK.

Lewica zaś to formacja, która walczy o sprawiedliwy podział dochodu narodowego wytwarzanego wysiłkiem 17 mln zapracowanych Polaków. To formacja, która opowiada się za równością pod każdym względem. Co oznacza niezgodę na rosnącą przepaść między ogółem społeczeństwa a garstką tłustych kotów bogacących się bezwstydnie jego kosztem.

Lewica jest za demokracją, to jest ustrojem, w którym rządzią ludzie, a nie pieniądze. Człowiek lewicowy walczy z wszelkimi przejawami dyskryminacji ze względu na płeć, rasę, wyznanie, stan zdrowia, wiek, a także status ekonomiczny. Bo najbardziej dyskryminowaną grupą w Polsce są biedni.

Od jakiegoś czasu trwa na świecie – a także w Polsce – rewolucja obyczajowa. O swoje prawa walczą homoseksualiści, lesbijki, osoby transpłciowe. Lewica wspiera te aspiracje, wychodząc z założenia, że ludzie są równi i nie ma powodu, by mniejszości seksualne traktować gorzej niż osoby heteroseksualne. Prawica jednak, grając na uprzedzeniach ludzi, dla których zmiany obyczajowe zachodzą zbyt szybko, uparła się, by lewicę sprowadzać do roli orędowników homoseksualnych małżeństw. Są oczywiście osoby, które uważając się za lewicę, ograniczają swą aktywność do tych spraw. Na określenie tej formacji znalazł się nawet pojęcie „środonowska progresywna”. Bardzo często ludzie ci mają w nosie walkę o prawa pracownicze czy inne palące problemy społeczne. Wielu z nich wcale nie jest

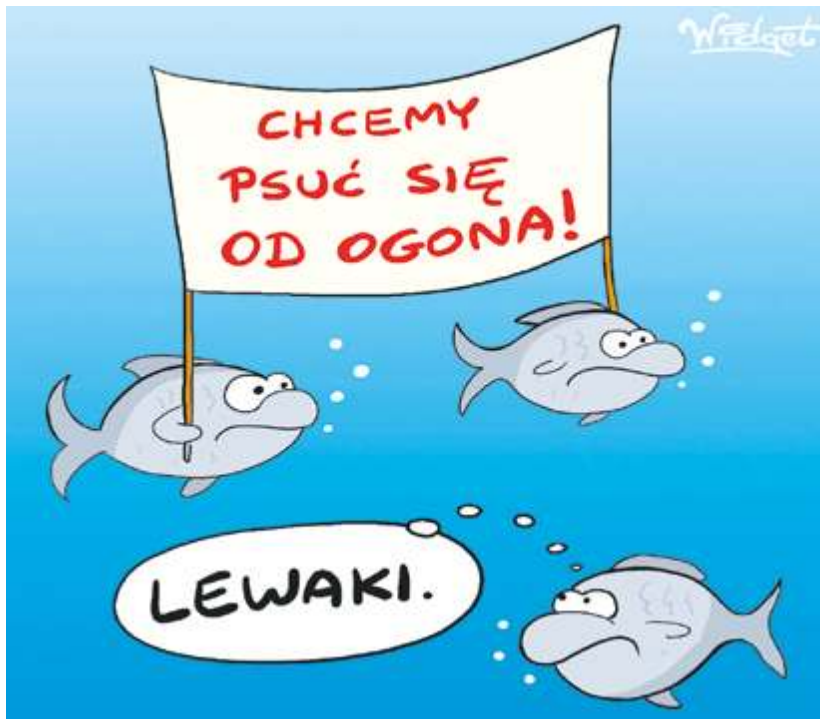
Lewicowy, czyli dobry

Prawica wygrywa, jak zrzyna z lewicy

żadną lewicą, walczą po prostu o prawa osób nieheteroseksualnych, tak samo jak o poszczególne prawa pracowników walczą nie tylko lewicowi związkowcy. Nie wystarczy być katolikiem, żeby być prawicowym. Podobnie nie wystarczy walczyć z dyskryminacją wobec jednej grupy społecznej, żeby być lewicowym.

Drugim tematem, który utożsamia się z lewicą, jest „zielony ład”. A prawda jest taka, że ta koncepcja nie ma nic wspólnego z lewicowością, może z wyjątkiem uznania, że problem zmian klimatycznych istnieje i jest bardzo poważny. Lewica nie może jednak popierać strategii walki z nadchodzącą katastrofą klimatyczną poprzez urządzenie katastrofy ekonomicznej uboższej części ludności. Największymi trucicielami są bogaci, bo oni zostawiają największy ślad węglowy. Ale rachunek w ramach „zielonego ładu” wystawia się Kowalskiemu w postaci niemożliwych do zapłacenia rachunków za prąd. Żeby uniknąć tych rosnących rachunków, trzeba by wrócić do epoki kamienia łupanego. Tymczasem w USA, gdzie zatrucie per capita jest najwyższe na świecie, ku uciesze polskiej zidiociałej prawicy wygrał gość, który otwarcie neguje konieczność walki ze zmianami klimatu. A więc najbogatszy kraj na świecie wypisuje się z porozumień zmierzających do zapobieżenia przegrzaniu planety.

A wystarczyłoby położyć tego, co wydajemy jako ludzkość na zbrojenia, przeznaczyć na niskoemisyjne lub bezemisyjne źródła energii, żeby nasze dzieci uniknęły klimatycznego armagedonu.



Wystarczyłoby opodatkować globalne korporacje. Wystarczyłoby pomyśleć, zamiast obciążać rachunkiem za ekscesy bogaczy tych, którzy nie dadzą rady ich płacić. W rezultacie takiej polityki wybory wygrywają tacy troglodcy jak poprzedni prezydent Brazylii Bolsonaro, który próbował zamordować płuca świata, puszczając amazońską.

Istotą prawicowości jest egoizm, brak troski o dobro wspólne. W ramach tej neoliberalnej, ultraprawicowej logiki bogaci zasłużyli na swoje bogactwo, a jeśli chodzi o biednych, to dobrze im tak, bo się za mało starali. W czystej postaci taki pogląd wyraża Konfederacja i jej kandydat na prezydenta, który uważa, że silny ma prawo deptać słabego i że to deptanie nie tylko nie zasługuje na potępienie, ale wręcz jest godne pochwały.

Obie strony przerzucają się oskarżeniami wziętymi z historii. Łagodnych

socjaldemokratów, takich choćby jak Adrian Zandberg, wrzuca się do jednego worka z Józefem Stalinem. A narodowców – z Hitlerem. Trzeba więc przypomnieć, że kiedy wydający antysemicką gazetkę „Rycerz Niepokalanej” Maksymilian Kolbe spotkał się z efektami swoich poglądów, oddał własne życie za Żyda. A polscy komuniści zostali w latach dwudziestych zgładzeni przez Stalina po tzw. procesie moskiewskim.

Ja sam spędziłem dużo czasu w więzieniach PRL, bo przeciwstawiłem się „władzy ludowej”, która kazała strzelać do robotników.

Socjalizm to idea. Piękne marzenie ludzkości. Pewne elementy tej idei znajdują wyraz w prospołecznych rozwiązaniach podatkowych, socjalnych czy propracowniczych. W dużej części krajów Europy Zachodniej, jeżeli ktoś znajdzie się w kryzysie, może liczyć,

że przed upadkiem na samo dno uratuje go państwo. W Polsce urządzonej na wzór USA, czyli prawicowo, większość z nas chodzi po linie, ale gdy zaczniemy spadać, nie uratuje nas żadna siatka bezpieczeństwa. Bo tymi, którzy przegrali, prawicowe, neoliberalne państwo się nie interesuje.

Za rządów prawicowego szaleńca Jaira Bolsonaro – który twierdził, że w czasach dyktatury woskowej nie należało torturować więźniów politycznych, tylko ich od razu rozstrzeliwać – nie odważono się zlikwidować programu socjalnego Bolsa Familia. Program ten wprowadził lewicowy prezydent Brazylii Ignácio Lula da Silva, a wymyślił Polak z pochodzenia Władysław Dowbor. Dowbor walczył w partyzancie miejskiej przeciw dyktaturze. Pojmany i torturowany, został ostatecznie uwolniony razem z grupą innych bojowników o wolność, w zamian za uwolnienie porwanego przez partyzantów ambasadora Niemiec. Bolsa Familia polegało na przekazaniu milionom matek kart płatniczych ze środkami na życie w zamian za posłanie dzieci do szkoły. Pozwoliło to na wyrwanie z nędzy kilkudziesięciu milionów Brazylijczyków. Program był tak popularny, że Bolsonaro go nie tknął.

W Hiszpanii po śmierci generała Franco i upadku jego faszystowskiego reżimu władzę objęli socjaliści i wprowadzili emeryturę obywatelską, wychodząc z założenia, że w pewnym wieku człowiek nie może już pracować, a wciąż musi jeść. Kiedy do władzy doszła postfrankistowska prawica zwana dla niepoznaki Partią Ludową, nie próbowała nawet znieść tego świadczenia.

Wreszcie w Polsce partia prawicowa – ale i w pewnej mierze chadecka – jaką jest PiS, uruchomiła pierwszy od początku transformacji transfer socjalny, czyli 500+. Pozwolił on większości dzieci wyjść ze skrajnego ubóstwa. Neoliberalne, prawicowe rządy Tuska też nie zdecydowały się na wygaszenie tego lewicowego w swej istocie programu.

Postęp jest zatem możliwy – choć przebiega zbyt wolno jak na mój gust. A przykład polski dowodzi, że prawica wygrywa wybory, kiedy ma pułpu lewicę. No i bardzo dobrze.

PIOTR IKONOWICZ

Tolerancja – czyli jak znosić idiotów bez użycia siły

Święto, które obeszliśmy szerokim łukiem

Jak na pewno nie wiecie, w sobotę 16 listopada obchodziliśmy ustanowiony przez ONZ Światowy Dzień Tolerancji. Słowo „obchodziliśmy” traktować należy tu raczej w znaczeniu „coś obejść”, ponieważ ani w urzędzie, ani w kościele, ani również w szkole nie słyszeliśmy, że tolerancja jest do czegoś potrzebna – a tym bardziej, jak ją świętować.

Nikt też z powodu tego światowego święta w naszym kraju się nie raduje, a mówiąc szczerze, i na świecie nie jest dużo lepiej. W krajach, gdzie więcej jest mięczaków – jak, powiedzmy, Szwajcaria czy Norwegia – a gospodarka ma charakter postprzemysłowy i ludzie muszą wynajdować różne bezproduktywne zajęcia, rzeczywiście coś się tego dnia czyni. Z reguły są to prelekcje i dyskusje, ale nie na temat owej tolerancji. Raczej jest to biadolenie nad wszystkim, co tolerancją nie jest, czyli apolożowanie przejawów nietolerancji. A tych jest cały garnitur.

Do nietolerancji, przeciw której Narody Zjednoczone wymyśliły święto tolerancji, zaliczamy zatem: rasizm – czyli przekonanie o wyższości jednej rasy nad inną, klasyczny przykład głupoty i zaścianowości; ksenofobię, znaczy lęk przed obcymi – typowy objaw kompleksów i ograniczenia umysłowego; homofobię – nienawiść do homoseksualistów będącą kolejnym dowodem na to, że niektórzy ludzie utknęli w średniowieczu; antysemityzm – nienawiść do Żydów, stary jak świat przepis na katastrofę; islamofobię – strach przed muzułmanami, efekt prania mózgów przez prawicowych demagogów; nacjonalizm – przesadne poczucie przynależności narodowej połączone z pogardą dla innych nacji, będące drogą do wojny; religijny fanatyzm, znaczy ślepą wiarę połączoną z nietolerancją dla innych religii – źródło konfliktów i wojen; religiofobię – pogardę dla wszelkich wyznań i kościo-

łów; nietolerancję polityczną – znaczy nienawiść do osób o innych poglądach będącą typową cechą fanatyków i idiotów; seksizm – przekonanie o wyższości własnej płci, zwykle męskiej, bo kobiety są zbyt mądre, żeby wierzyć w takie bzdury. Mamy jeszcze klasizm, czyli pogardę dla ludzi o niższym statusie społecznym – objaw snobizmu i braku empatii; ageizm – dyskryminację ze względu na wiek; mizoginię – nienawiść do kobiet, kolejny dowód na to, że niektórzy mężczyźni boją się silnych bab; dyskryminację osób niepełnosprawnych, skrajne chamstwo i okrucieństwo. Z mniej popularnych, ale równie godnych potępieniaizmów wymienić można lookizm, dyskryminację ze względu na wygląd – czyli powierzchowne ocenianie po ubiorze, fryzurze, cenie garnituru, a także heightizm, uprzedzenie do ludzi niskich, kompleks karłów oraz fatfobię, czyli nienawiść do otyłych. Na koniec zostawiłem nietolerancję dla osób z chorobami psychicznymi – rzekłbym: formę okrucieństwa i ignorancji.



Nie jest to jednak katalog zamknięty. Jak spojrzymy na samych siebie i zastanowimy nad własnymi niechęciami, to zapewne nikt z nas nie ma w swoim otoczeniu kogoś, kogo lubiłby na sto procent. Zapewne są też tacy, którzy do nielubianych zaliczają samych siebie. Powodem tego nielubienia nie są ludzie jako tacy (co rzadko przychodzi nam do głowy), ale ich jakieś cechy, np. że ten nosi берет, tamten je surowe mięso, a jeszcze inny należy do społeczności, w której w dobrym tonie jest bekanie po posiłku. Od tych niechęci blisko jest już do nietolerancji, a może nawet do kapeluszydyskryminacji, tatarowstrętu czy bekofofii. Cokolwiek by gadać, w ich obliczu noże się niekiedy w kieszeniach otwierają, a instynkt łowcy, który przetrwał w nas od czasów jaskiniowych, każe zabijać.

No i teraz nawoływani jesteśmy do tolerancji wobec tego zastępu potworów – a może do tego, aby samemu w nietolerancję nie popaść i potworem się nie stać? Czego właściwie oczekuje od nas światowa organizacja narodów?

W gruncie rzeczy w każdej z tych głupich okoliczności należałoby sobie wypracować jakiś szczególny rodzaj tolerancji i sposób zachowania. Definicja Oenzetu, że tolerancja to szacunek, akceptacja i docenianie bogatej różnorodności kultur naszego świata, form ekspresji i sposobów bycia człowiekiem, pielęgnowana przez wiedzę, otwartość, komunikację, wolność myśli, obowiązki moralne, jak i wymóg polityczny i prawny, nie niesie ze sobą żadnych praktycznych zaleceń.

Żeby sprawa była jeszcze trudniejsza, tolerancja nie jest ustępstwem, protekcyjnością ani pobłażliwością (z definicji Narodów Zjednoczonych) i czego wnioskujemy, iż tolerancja to nie jest przyjmowanie wszystkiego z uśmiechem.

To świadoma akceptacja odmienności, ale w granicach rozsądku. Nie można wszak tolerować chamstwa, głupoty, agresji. Nie chcemy pobłażać brakowi kultury, szacunku, empatii. Bucie, arogancji, pogardzie dla innych. Pluciu na chodnik, pierdzeniu w towarzystwie, traktowaniu innych jak śmieci, wywyższaniu się, poniżaniu słabszych. Jazdy na zderzaku, trąbieniu bez powodu, parkowaniu na miejscach dla inwalidów. Głośnym rozmowom przez telefon w miejscach publicznych, puszczaniu muzyki na cały regulator, śmieceniu, przeklinaniu, wyrażaniu pięściami, pluciu jadem.

W sumie bowiem tolerancja to jest bardzo trudna sztuka życia, która zapewne przychodzi z wiekiem, odczytaniem, poznaniem samego siebie oraz zasad, jakimi kieruje się ten świat. Rozwijanie tej cnoty powierzchownie bardziej psychologom i psychiatrom, bo politycy, kierujący ONZ, rozgrywają wszystkie te „izmy”, reprezentują skrajności i wymyślają wrogów. Na mentorów tolerancji nadają się w ostatniej kolejności.

Chociaż zawodowcom od ludzkich dusz nie jestem, doraźnie proponowałbym praktykować osobistą tolerancję w ten sposób:

1. Metoda strusiego jaja: schować głowę w piasek i udawać, że irytujące zachowania nie istnieją. Najprostsze, ale mało skuteczne, chyba że piasek jest nasączony wódką.
2. Metoda „uśmiech nr 7”: nieszczerzy grymas i powtarzanie w myślach: *Spokój, to tylko prowokacja*. Działa do czasu, aż żyłka na czole pęknie.
3. Metoda „terapia szokowa”: zastosować wobec delikwenta dawkę chamstwa równą jego własnej. Ryzykowne, ale satysfakcjonujące.
4. Metoda „święty spokój”: opuścić miejsce zdarzenia, zanim nerwy wezmą górę. Najrozsądniejsze, o ile ma się dokąd pójść. No i zapas wódki, rzecz jasna.
5. Metoda „wyższość intelektualna”: Z politowaniem obserwować głupotę innych, będąc świadomym swojej wyższości. Działa tylko na ludzi inteligentnych, co w dzisiejszych czasach jest wadą.

ROBERT JARUGA

Zawodówki dla lekarzy działają nadal – ale teraz już są ideologicznie i politycznie słuszne.

W październiku 2023 r. na Akademii Nauk Stosowanych w Nowym Sączu ruszył kierunek lekarski. Medycynę jęło tam studiować 50 osób. Akademia Nauk Stosowanych to publiczna uczelnia zawodowa założona w 1998 r. w Nowym Sączu. Do tamtej pory kształciła inżynierów i księgowych. Medycyna na tej uczelni charakteryzowała się tym, że przyszli lekarze musieli dojeżdżać na zajęcia z anatomii do oddalonego o 260 km Radomia. Teraz już pierwszorocznicy pod Warszawę jeździć nie muszą. I to nie dlatego, że kosztem kilku milionów złotych wybudowano im w Nowym Sączu prosektorium. Nie muszą, bo osoby, które zrekrutowano na kierunek lekarski w tym roku, studiować medycyny w Nowym Sączu nie mogą.

Neurochirurg po zawodówce

Tak orzekło – w ślad za negatywną opinią Polskiej Komisji Akredytacyjnej – Ministerstwo Zdrowia. Orzekło latem, parę tygodni po tym jak chętni studium medycyny maturzyści zostali już w Nowym Sączu zrekrutowani. Ten chaos to oczywiście pokłosie tego, że w ostatnich latach produkcja nowych lekarzy ruszyła w tak znacznych ośrodkach o najwyższych standardach kadry naukowo-medycznej jak Uniwersytet Humanistyczno-Przyrodniczy im. Jana Długosza w Częstochowie, Akademia Medycznych i Społecznych Nauk Stosowanych w Elblągu, Akademia Kaliska im. Prezydenta Stanisława Wojciechowskiego czy Akademia Mazowiecka w Płocku i kilku innych uczelniach, które z medycyną nie miały wcześniej nic wspólnego.

Zdziwi kogoś fakt, że w Nowym Sączu medycyna ruszyła, pomimo iż w czerwcu zeszłego roku nowosądecka Akademia Nauk Stosowanych otrzymała negatywną opinię komisji? Ekspert wskazywali na brak pełnego harmonogramu nauki na sześć lat kształcenia oraz mieli wątpliwości co do niektórych członków kadry. Mimo to z przychylnością ministra Czarnka kierunek został otwarty i cieszył się ogromnym zainteresowaniem.

Medycyna w szkołach zawodowych wzięła się stąd, że PiS doszło do wniosku, że mamy mało lekarzy. I wcale nie dlatego, że masowo uciekają do roboty za granicę, lecz z tego powodu, że Polska za mało ich produkuje. Gdy w 2018 r. dokonano tego odkrycia, studentów medycyny kształciło w Polsce 19 uczelni. Studia na wydziałach lekarskim i dentystycznym, zgodnie z ministerialnym corocznym limitem, rozpoczynało 9211 osób.

W ubiegłym roku akademickim uczelni edukujących lekarzy było już 27. Znaczący ponad 40 proc. więcej niż pięć lat wcześniej. Ubiegłoroczny ministerialny limit przyjęć na medycynę to 9725. Wzrost wyniósł zatem 9 proc.



Naczelna Izba Lekarska wyśmiała tworzenie takich szkół w miejscach, gdzie nie było ani odpowiedniej kadry, ani szpitali nadających się do skierowania tam studentów, ani nawet odpowiednich prosektorii do ćwiczeń. NIL skrobnęła w tej sprawie donos do Komisji Europejskiej z prośbą o unijną interpretację przepisów dotyczących minimalnych wymogów kształcenia lekarzy. W nim zaś stało: *Otwieranie kierunków lekarskich na kolejnych uczelniach wzbudza sprzeciw środowiska lekarskiego, które podkreśla, że zwiększanie liczby absolwentów nie rozwiąże problemów kadrowych w publicznej ochronie zdrowia, że istnieją wątpliwości do kwestii związanych z zapleczem dydaktycznym, że nie jest do tego dostosowany system kształcenia podyplomowego, że może wszystko to skutkować obniżeniem poziomu wiedzy i nieprzygotowaniem do należytej opieki nad pacjentami, a co za tym idzie – zmniejszeniem bezpieczeństwa pacjentów i jakości świadczeń zdrowotnych...* Ta argumentacja przemawia, nawet jeśli się nie jest lekarzem drążącym o wzrost konkurencji w zawodzie, czyli spadek gigantycznych zarobków.

To sobie powykładamy

Po co jednak stworzono setki dodatkowych etatów w miejscach, gdzie dotej pory medycyny nie nauczano, skoro można było po prostu w dotychczasowych ośrodkach kształcących lekarzy zwiększyć nabory o te śmieszne 9 proc.? Przecież do grup studentów, które dotąd liczyły po 18–20 osób, doszłusowaliby góra dwoje studentów. Ani oni, ani reszta grupy nawet nie zwróciliby na to uwagi. Wszyscy zaś mieliby szanse uczyć się od ludzi, którzy na kształceniu przyszłych lekarzy zjedli zęby. Nie wspominając o tym, że studiowaliby na uczelniach wyposażonych w to, co konieczne, a praktykę mieliby w uznanych szpitalach klinicznych. Ale PiS nie stworzyło kierunków medycznych w dziwnych miejscach po to, żeby lekarzy było więcej. Poprzednia władza wprowadziła nowelę ustawy, która umożliwiła szkołom zawodowym staranie się o akredytację kierunku lekarskiego. Na jej mocy każda – de facto – uczelnia mogła zacząć kształcić lekarzy. Wystarczy, że udowodniła, iż zatrudnia co najmniej 12 nauczycieli akademickich prowadzących

działalność naukową w dyscyplinie nauki medyczne lub dyscyplinie nauki o zdrowiu, dla których uczelnia jest podstawowym miejscem pracy. *Nieważne, czy te uczelnie zatrudnią 12 nauczycieli akademickich, jak to przewiduje ustawa. Nadal nie będą miały odpowiedniego zaplecza, właściwych warunków studiowania. Poza tym nikt nie zastanowił się, czy dla absolwentów tych kierunków będzie zapewnione, niezbędne w zawodzie lekarza, kształcenie podyplomowe – czy będą miejsca na stażu podyplomowym, miejsca rezydentkie? Krótko mówiąc, rząd wprowadza na nowo felcerów* – woził się w mediach po nowych przepisach Damian Patecki, przewodniczący Komisji Kształcenia Naczelnej Rady Lekarskiej. W przeciwieństwie do NIL większość środowiska wcale nie pomstowała na zawodowe szkoły lekarskie. Medycy skonstatowali, że niedouczeni doktorzy po takich uczelniach będą idealni do rozmów telefonicznych z pacjentami. Dzięki czemu lekarzom leczącym naprawdę chorych będzie przybywać. Poza tym doktorzy wiedzą, że na rynku pracy lekarskiej działa ekonomiczne prawo Kopernika-Grishama. Powodujące, że gorsi lekarze wypierają tych lepszych, którzy szybko przenoszą się tam, gdzie się ich docenia, czyli na zachód Europy. Bez względu więc na to, ile osób i gdzie zdobędzie dyplom lekarski, dla pacjenta w Polsce niewiele się zmieni. A dla działaczy PiS nowe szkoły lekarskie zmieniały wiele. Każda wyższa szkoła zawodowa, dostając zgodę na otwarcie kierunku lekarskiego, zyskiwała na prestiżu. Ten przekładał się na liczbę studentów i państwowych dochodów. Duży pieniądź dla uczelni wywołuje w jej władzach wdzięczność. Bo to i nowe stanowiska dla jej pracowników, i wyższe zarobki. W wdzięczność ta wracać miała do działaczy PiS w formie mniej lub bardziej fikcyjnych fuch uczelnianych, a w najgorszym wypadku wykładów (wcale nie na kierunku medycznym) po parę tysięcy złotych za półtorej godziny głożenia. Właśnie na tym – a nie na opowieściach o mnożeniu kadry lekarskiej – zasadzała się tajemnica skokowego wzrostu liczby zasadniczych szkół lekarskich w rządzonej przez PiS Polsce.

Leczenie pudrem

Przy nowej władzy postawione na głowie rzeczy miały wrócić do stania na nogach. Zwłaszcza że pojawiły się enuncjacje, choćby z Poznańskiej Akademii Medycznej Nauk Stosowanych im. Księcia Mieszka I, gdzie zaledwie 20 godzin zajęć praktycznych z anatomii miało być prowadzonych na preparatach zwłok ludzkich. Większość zajęć – 40 godzin – w pracowni anatomii na plastikowych modelach, fantomach i atlasach oraz kolejne 40 godzin na stołach wirtualnych. W Akademii Tarnowskiej ze 135 godzin zajęć praktycznych z anatomii tylko 75 godzin było w prosektorium oddalonego o 80 km Collegium Medicum Uniwersytetu Jagiellońskiego. Pozostałe 60 godzin odbywało się za pomocą stołów wirtualnych, symulatora VR oraz fantomów, modeli plastikowych i atlasów. Nowa władza dostała po Czarnku jeszcze jeden spadek. W końcu 2023 r. powołał on skład Polskiej Komisji Akredytacyjnej ze swoim kolegą z KUL ks. prof. Tadeuszem Stanisławskim na czele. Ale ponieważ do tego gremium członków zgłaszało wiele uczelni i instytucji odległych od PiS, to PKA za przybudówkę Nowogrodzkiej uznać nie sposób. Komisja wzięła się do pracy i w czerwcu wystawiła wielu uczelniom zawodowym z kierunkiem lekarskim noty nader negatywne. Gdyby to było wiążące, to szkoły miałyby jeszcze czas, by nie robić z kandydatów na studia wariatów i nie przeprowadzać rekrutacji. Procedura jednak jest, jaka jest, i ostateczna weryfikacja kierunków lekarskich dokonała się 10 września. O ich wynikach, uczelnie te oficjalnie dowiedziały się parę dni później. Znaczący w chwili, gdy zrekrutowani na medycynę studenci nie mogli już poprzeczać papierów. Jeśli komuś wydaje się jednak, że PKA dokonała skutecznej rzezi pisowskich lekarskich niewiniątek, to jest w błędzie. Co się stało – tak do końca nie wiemy. Może uczelnie zareagowały ze zdrowym instynktem samozachowawczym i w miejsce pisowskich czynowników poprzyjmowały mędrców związanych z nową władzą? W każdym razie po ponownej kontroli Polskiej Komisji Akredytacyjnej okazało się, że rekrutacji na I rok studiów na kierunku lekarskim nie mogą przeprowadzić: Akademia Nauk Stosowanych w Nowym Targu, Akademia Nauk Stosowanych w Nowym Sączu, Poznańska Akademia Nauk Stosowanych im. Księcia Mieszka I i Społeczna Akademia Nauk z siedzibą w Łodzi. Padła także medycyna na Uniwersytecie w Siedlcach. Wszędzie tam stwierdzono poważne uchybienia. U reszty ubiegłorocznych medycznych debiutantów – nie. A teraz najlepsze: mimo tych uchybień we wszystkich wymienionych placówkach studenci, którzy rozpoczęli naukę przed rokiem, mogą kontynuować studia zgodnie z zaplanowanym programem. Gdyby ktoś czegoś nie rozumiał, to niech się nie dziwi, bo z logiką wiele wspólnego to nie ma. Wszak mimo uwalnienia medycyny na tych czterech uczelniach mnóstwo innych wyższych szkół zawodowych może wciąż kształcić lekarzy. Ba, Ministerstwo Zdrowia podniosło w tym roku limit przyjęć na studia lekarskie o kolejne 244 miejsca, czyli o 2,5 proc! Dzięki temu na kierunku lekarskim w bielsko-bialskiej filii Śląskiego Uniwersytetu Medycznego w Katowicach mogło w październiku rozpocząć studia 36 osób. W prywatnej WSB z Dąbrowy Górniczej studentami medycyny zostało 60 osób. Na Politechnice Wrocławskiej – 40 osób. W bydgoskiej filii Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu – 48 osób. A na uczelni o nazwie Uniwersytet Kaliski im. Prezydenta Stanisława Wojciechowskiego – 60 adeptów medycyny. A jeszcze w kwietniu lewicowy minister od szkolnictwa wyższego Dariusz Wietorek mówił: *Wiecej nam potrzeba lekarzy, a nie neolekarzy, którzy będą studiowali online, nie będą prowadzili w laboratoriach żadnych doświadczeń, nie będą mieli możliwości funkcjonowania w szpitalu, nie będą mieli praktyk. Do tego absolutnie nie możemy dopuścić.*

TADEUSZ JASIŃSKI

WIEŚCI GMINNE I INNE

■ Gdyby Nobel obejmował rysunek satyryczny, Andrzej Czeczot, Tomasz Wiater, Edward Lutczyn i – przede wszystkim – Marek Raczkowski byłiby murowanymi kandydatami. Niestety, los bywa przewrotny. Mistrz Raczkowski zmagają się z ciężką chorobą. Wyłew, epilepsja, złamana ręka, a od dwóch lat walka z rakiem i urostomia po usunięciu pęcherza. Życie z tym wszystkim to nie bułka z masłem, a leczenie kosztuje. Wsparciem artystę finansowo – zbiórka trwa na portalu zrzutka.pl.

■ Afera jajeczna w Czechach, gdzie są sklepy niemieckiego Lidla. Otóż, jak się okazało, Czesi byli oszukiwani co do narodowości sprzedawanych w tych marketach jaj kurzych. Niemcy twierdzili, że jaja są czeskie. Tymczasem

drobiazgowo śledztwo ujawniło, że jaja pochodzą z Polski. Wobec ciężaru dowodów Niemcy ustąpili; wprawdzie jaja pochodzą z Polski, ale kury, które te jaja znoszą, są czeskie, tylko wyemigrowały do Polski. Pokrętność na poziomie niemieckiego kanclerza – wiecie, tego z wąsikami. Sprawa wymaga dalszych dociekań. Rzeczywiście mogło być tak, że kury przeszły na polską stronę, bo na przykład nie mogły uczęszczać w Czechach do kółka. Cechy zateizowały się bowiem kompletnie. Najlepiej o poczucie przynależności narodowej byłoby zatem zapytać same kury. Ich gdakanie powinno być rozstrzygające.

■ Międzynarodowa Unia Ochrony Przyrody dokonała aktualizacji czerwonej księgi gatunków zagrożonych. Jeż zachodni został przesunięty z kategorii „gatunku najmniejszej troski” do kategorii „bliski zagrożenia”. Zdaniem przyrodników spadki liczebności jeży sięgają 16 do 50 proc. Osobiście nie podzielam tej obserwacji. W mojej podwarszawskiej miejscowości jeży mamy jak kiedyś kur na podwórkach. Nie miałbym nic przeciw tym kol-

czastym stworzeniom, gdyby nie to, że tuptają w nocy. Hałas jest nie do wytrzymania. Pisać się nie daje.

■ Kotek Pandek został skatowany przez mieszkańca Krakowa, ponieważ zjadł plaster boczek. Krakowiak odciał też kotu język. Tylko dzięki heroicznej walce zespołu leczniczy Luxvet24 zwierzę nadal żyje. Kot jest traumatyzowany. Co gorsza, odmawia przyjmowania wszelakich pokarmów łącznie z boczkami. Walka, aby nie zdechł z niedożywienia, jest kontynuowana – informuje Krakowskie Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami.

■ Randka w Suwałkach skończyła się za krakami. Mężczyzna poszedł na spotkanie z kobietą, wypili trochę, zasnęli. A po przebudzeniu okazało się, że z portfela zniknęły mu 2 tys. Facet uparł się, że nie wyjdzie, dopóki nie odzyska pieniędzy. Kobieta wezwwała policję, myśląc pewnie, że pozbędzie się natręta. A tu niespodzianka! Policja przesłuchiwała oboje i... aresztowała gospodynię. Okazało się, że to ona przywłaszczyła gotówkę. Morał z tej historii płynie

taki: nie kradnij na randce, bo możesz skończyć w więzieniu. A już na pewno nie wzywaj policji.

■ Uzupełnić trzeba informację, która przeto-czyła się przez media, że 23-letni muzułmanin z Turcji dźgnął nożem w centrum Warszawy przy alei świętego katolickiego Jana Pawła II. Czyn zatem nosiłby znamiona usiłowania morderstwa, profanacji świętości i konfliktu międzynarodowego, gdyby nie to, że ofiara również była Turkiem. Zatem był to klasyczny rozłam w obrębie stołecznej mahometańskiej diaspory, a udział w zdarzeniu Jana Pawła II uznać należy za całkowicie przypadkowy.

■ Wiedeń, miasto walców i freudowskiej psychoanalizy, ma problem. Otóż już od 11 lat na Kahlenbergu, miejscu chlubnej wiktoria nad niewiernymi, stoi pusty cokół. Czeka na Jana III Sobieskiego odlanego w brązie przez profesora Czesława Dźwigaja z Krakowa. Pomnik gotowy, zapłacony, a stać nie może. Austriacy obawiają się nastrojów islamofobicznych i antytu-reckich. A przecież to właśnie te nastroje, delikatnie mówiąc, sprowadziły Sobieskiego pod

Wiedeń w 1683 r., gdzie jechał tylko po to, żeby podpisać traktat o przyjaźni i współpracy z Imperium Osmańskim. No, może przy okazji odbił parę niewolnic, ale to tylko drobiazgi. Słusznie zatem by było wreszcie spiedestalizować tego naszego Sobieskiego pod Wiedniem, a budkę z kebabem postawić obok na znak pojednania.

■ Mimo że od wyborów samorządowych minęło już ponad pół roku, w kraju trwa wendeta nowych wybrańców przeciw starym władzom. W Wieliczce na przykład burmistrz Rafał Ślęczka oskarża byłego burmistrza Artura Kozioła o przekręt finansowy. Podobno Kozioł tak namieszał w długach miasta, że teraz Ślęczka musi nad tym ślepczeć. Kozioł rzekomo brał kredyty i szastał pieniężkami, a spłacać ma ktoś inny. Sprytne, co? No ale prokuratura się wtrąciła, więc może Kozioł się nie wywinie. Ciekawe, jak to wszystko się skończy. Może się okazać, że to tylko zwykła samorządowa pyskówka?

RJ
PS Rubrykę skłono z plotek, którymi nas uraczyła prasa lokalna. Ta, za którą ręką daliśmy sobie uciąć, że bredzi. Zatem czytajcie, ale ostrożnie. Może to być prawda, ale niepełna. Zaś za kłamstwem, jak zwykle, nie odpowiadamy.

Sejm się wyżywi

Zgadnijcie: gdzie jest taniej niż w barze mlecznym?

Warszawa może pochwalić się wieloma wybitnymi restauracjami, często firmowanymi nazwiskami znanych osób. Wodzą nas na pokuszenie: kaczką Magdy Gessler, bulgogi Lewandowskiego, schabowy Grażyny lub coś „wybitnie conceptualnego” u Kuby Wojewódzkiego. Ale powiedzmy sobie szczerze, kto z tego korzysta na co dzień? Stołeczna gastronomia stoi na zdrowych proletariackich fundamentach mlecznych barów, gdzie za drobne dostaniesz to, co się liczy: kotlet, ziemniaki i kompot bez celebryckiej piany.

To unikalne zjawisko w kulturze kulinarnej, nasz wkład do europejskiego, ba – światowego garnka. Pierwsza mleczna kanta na ludu pracującego powstała w 1896 r. w Warszawie. W czasach kryzysu lat dwudziestych i trzydziestych mączne i ziemniaczane stołówki na dobre zadomowiły się w miastach, dowodząc, że mąka i mleko lepiej smakują niż manifesty.

PRL uznał bary mleczne za świetne narzędzie do walki z nierównościami. Państwo szczerze je dotowało, aby każdy obywatel ludu pracującego miast i wsi mógł najęść się do woli klusek i warzyw, zgodnie z hasłem: *Mięso to luksus, niekoniecznie zdrowy!*

Po upadku PRL bary stały się kantynami dla nowej „elity”, której plan Balcerowicza skutecznie uszczuplił portfele. Inżynierowie, literaci i nauczyciele w końcu mogli zjeść miskę grochówki w towarzystwie bezrobotnych robotników, ciesząc się wspólnie owocami radykalnego kapitalizmu. W 1994 r. przyznano stołówkom wapniowej mocy legitymne ustawowe dotacje, które funkcjonują do dzisiaj. Świątynie pierogów i kompotu, jeśli spełniają określone kryteria, mogą korzystać z pomocy państwa, co umożliwia im utrzymanie niskich cen. W samej Warszawie funkcjonuje ponad 40 takich jadłodajni, w skali kraju jest ich jeszcze ponad 150.

Pisały o nich największe światowe media. „New York Times”: *Bary mleczne, te socjalistyczne relikty, wciąż karmią każdego, kogo kapitalizm pominiął.* „Guardian”: *Kto by pomyślał, że hipsterzy i studenci polubią bary, w których socjalizm serwował zupę szybciej niż cokolwiek innego.* BBC: *Tanie jadłodajnie z duszą, których jedynym grzechem jest brak alkoholu.*

Rok 2024 przyniósł zimny prysznic, który obudził nas ze snu o kluskach i pyzach. Dotacje do barów mlecznych rozwiewają się jak marzenia. Od przyszłego roku rząd planuje zmniejszenie subwencji o ok. 10 mln zł.

Dodam, że nie wszyscy przedsiębiorcy z tych dotacji potrafią korzystać, ich zawiłości to prawdziwa perła biurokracji. Mąka jest dotowana bardziej niż ziemniaki, więc kopytką przegrywiają z leniwością. Mleko jest żyłą złotą – zupy mleczne wygrywiają we wszystkich wariantach menu. Kotlet, wiadomo, nadal w niełasce, za to barszcz jak zawsze – tani jak barszcz. Tak jadłospisy stały się poligonem dla kulinarnych strategów w walce o każdy grosz z budżetu. Niestety, popularne bary coraz częściej giną w zmaganiach z niewidzialną ręką rynku. Addio, ruskie pierogi, addio utraccone, zachodzące słońce! Jeśli jakimś cudem stać nas jeszcze na pyzy i talerz barszczu, powinniśmy od razu sięgać po telefon i pozować do selfie, by uwiecznić chwilę i czym prędzej pochwalić się prestiżowym lifestyle’em (zanim wystygną).

Uśmiechnięta Polska nie ma sentymentów ani dla kopytek, ani dla placków ziemniaczanych, a już na pewno nie dla ich konsumentów, każąc nam – pamiętajacym pytanie *Jak żyć?* skierowane do Donalda Tuska – równie dramatycznym tonem pytać: *Jak jeść?* Szukając odpowiedzi na te kluczowe egzystencjalne pytania, przemierzaliśmy nieznane obszary od zakamarków internetu po najbardziej odległe bary stolicy. I właśnie wtedy, gdy myślałem, że mleczaki są ostatnią redutą oszczędności, natknąłem się na coś jeszcze lepszego. Co najmniej 30 proc. taniej niż w stołecznych barach, a niektóre pozycje w symbolicznej, niewiarygodnie niskiej cenie. To było jak odkrycie mitycznej Atlantydy tanich posiłków. Miejsce to było ukryte. Tam, gdzie nigdy byśmy go nie szukali. Napiecie rośnie...

Tadaaam! To stołówka sejmowa. W bieżącym roku w menu prawdziwe perełki: zupa za sześć złotych, drugie danie (filet z kurczaka, ziemniaki lub kasza i surówka) za 13 zeta, a do tego kompot za symboliczne złoty pięćdziesiąt. Za pełen zestaw na bogato (zupa, drugie danie i kompot) wybrańcy narodu becelują dwadzieścia ziko.



Rozumiecie? Posłowie płacą sześć złotych za pełny talerz. Nie oczekujmy, by martwili się o rosnące ceny pierogów na mieście.

W obliczu wzburzenia obywateli temat sejmowej stołówki nabrzmiewa, przeradzając się w medialną debatę. Kazimierz Smoliński z PiS z pełną powagą przekonuje, że ceny w sejmowej stołówce to standard, *jak w każdej zakładowej jadłodajni*. Tymczasem Konfederacja reprezentowana przez Sławomira Mentzena podchodzi do sprawy z niemal dziecięcym entuzjazmem: według niego stołówka oferuje dobre jedzenie, a obsługa wręcz olśniewa swoją uprzejmością. Z kolei minister finansów Andrzej Domański ze zdziwieniem zauważa, że ceny w barach mlecznych są różne. Na odsiecz ciekawskim głodomorom spieszy Michał Deskur, wiceszef sejmowej kancelarii, z wielką obietnicą dla strapiionych posłów – oznajmia, że już wkrótce liczba posiłków zostanie zwiększona.

W pełni zgadzam się z kancelarią. To jest słuszną koncepcją. Należy radykalnie zwiększyć liczbę posiłków, wprowadzając jednocześnie usługę „Sejm-Eat”: obiady z Wiejskiej z dowozem. Niech wprowadzą franczyzę w całej Polsce. Wyobraźcie sobie: sejmowy barszcz, parlamentarny kotlet, poselski kompot – za parę groszy, i to bez wychodzenia z domu...

Obawiam się jednak, że nasi posłowie broniliby dostęp do jadłodajni jak niepodległości, zwłaszcza gdyby zobaczyli hordy głodnych obywateli nacierających na sejm z okrzykiem: „Stołówka dla wszystkich!”. Transparenty i flagi powiewałyby nad tłumem domagającym się koryta dla narodu i skandującym: „Chleba zamiast igrzysk!”.

Zanim nastąpi bunt żyłek i widelców, pozwól sobie zaapelować w imieniu szarych konsumentów szarych klusek: Szanowni Posłowie, może warto spojrzeć życzliwym okiem na tych, którzy w barach mlecznych odliczają każdy grosz na ziemniaki z tłuszczem?

Pomyślcie o tym, zając się za grosze w sejmowej stołówce. Kto z was jest bez winy, niech pierwszy rzuci... leniwym pierogiem. Najlepiej w samego siebie.

PRZEMYSŁAW KRAJEWSKI

ETYKA BEZBOŻNA

Rozważania o wyrywkowej sprawiedliwości

Biedny, biedny pan Sutryk

Jako rodowity Wrocławianin przeżyłem wzmoczenie emocjonalne na wieść o aresztowaniu prezydenta Jacka Sutryka. Wprawdzie od dawna było wiadomo, że ma dość podejrzany dyplom MBA (magistra zarządzania – po angielsku), ale kto to widział, żeby z tego powodu zaraz zakuwać w kajdanki!

Nadal się dziwię i zastanawiam się, co z tego wyniknie. Nie było bowiem dotychczas takiego obszaru przestępczości, który by polskie (i nie tylko polskie) prokuratury ignorowały tak dokumentnie jak nadużycia w sferze dyplomów i awansów akademickich. Jako ktoś od oseska obcujący bezpłciowo z uniwersytetem – a zwłaszcza szef komisji od plagiatów i innych nadużyć w ministerstwie nauki (za czasów Barbary Kudryckiej) – wiem doskonale, że oszukiwanie i wyłudzenie magisteriów, doktoratów, habilitacji i profesor na podstawie tekstów mniej czy bardziej dosłownie przepisanych od innych nie jest ani częste, ani bardzo częste, lecz jest po prostu masową rutyną. Gdyby zaczęto się nią kiedyś na serio przejmować, połowa wyższych uczelni w Polsce musiałaby zostać rozwiązana.

Może właśnie dlatego ustalił się społeczny konsensus, że się tego nie rusza. A przecież plagiat to ciężkie przestępstwo! Nie dość, że kradzież własności intelektualnej, to w dodatku poświadczenie nieprawdy w dokumentach (prace awansowe składa się oficjalnie w dziekanatach), wyłudzenie nienależnego dyplomu oraz wielorakich korzyści, w tym wszelkich wynagrodzeń, które otrzymało się wskutek wprowadzenia w błąd pracodawcy! A jednak prokuratorzy zawsze to ignorowali, nawet jeśli od wielkiego dzwonu ktoś ich o plagiatach zawiadamiał. Po prostu takie sprawy umarzono, i to bez większych ceregieli.

Aż tu nagle... Nie dość, że Sutryk ma odpowiadać za kupienie dyplomu (zakwalifikowane w dodatku jako uzyskanie korzyści za łapówkę), to również za wyłudzenie tego wszystkiego, co zarobił w spółce skarbu państwa, gdzie synekura w zarządzie wymagała właśnie przedstawienia dyplomu MBA.

Oczywiście tak naprawdę w sprawie Collegium Humanum nie chodzi akurat o Sutryka ani tłum innych „detalistów”, lecz o dorwanie panów Cz. oraz ważnych aparatczyków PiS, którzy rozkreślił niezlą maszynkę do produkcji dyplomów i kolonizowania przy ich pomocy państwowych spółek. W dodatku maszynka posłużyła do produkcji lewych wiz studentkich dla obywateli krajów ze „-stan” na końcu, gdzie wódkę nadal można zamawiać po rosyjsku. Los Sutryka ma być przestrogą i przykładem dla setek pisowców (akurat Sutryk takowym nie jest, a zresztą stanowczo odpiera zarzuty), bo zapewne ABW przyjdzie też po nich. Jak przypuszczam, „efekt Sutryka” zadziałał i w paruset willach na przedmieściach piastowskich i jagiellońskich grodów zagościł strach. I nie powiem, aby mnie to nie cieszyło.

A jednak zawsze, gdy ni z tego, ni z owego, pojedynczy przypadek pospolitego a przemilczanego na ogół i lekceważonego przestępstwa staje się przedmiotem gwałtownych reakcji władzy, ogarnia mnie frustracja. Jest w tym bowiem pewna przewrotna niesprawiedliwość, wynikająca z faktu, że pozostali winowajcy będą cieszyć się bezkarnością, a nawet więcej – radować się, że ktoś inny został wytypowany na kozła ofiarnego. Ponadto złożył mnie innego, jeszcze rodzaju niesprawiedliwość, kryjąca się za takim „wielkim przebudzeniem” moralno-prawnym. Nie tylko bowiem najczęściej jest ono fikcyjne, lecz opiera się na kłamstwie i kłamstwu służy. To tak jak z pedofilią księży. Najskuteczniejszą strategią chronienia Kościoła przed odpowiedzialnością za pedofilię jest głośnie oburzanie się na pojedyncze przypadki



i uparte przemilczanie istoty rzeczy, którą polega na masowym i systemowym charakterze tego zjawiska.

Z Collegium Humanum będzie to samo – ci akurat przegięli i poniosą konsekwencje. A co z innymi? Nic. A przecież setki tysięcy polskich licencjatów, magistrów i doktoratów z setek uczelni zostało bezzecznie zerzniętych bądź napisanych na zamówienie przez zdolnych, lecz zdemoralizowanych ghostwriterów, a do tego setki tysięcy osób otrzymało je za to, że spędziło parę tygodni na uczelni w ramach tzw. weekendowych zjazdów, wysłuchali jakichś miernych pogadanek zwanych wykładami i (najważniejsze) zapłacili czesne. Niczego się nie uczyli i nikt od nich niczego (poza jakąś najczęściej beznadziejną i niesamodzielną napisaną „pracą magisterską”) nie wymagał.

Nabijcie mnie na pal, ale w moim najgłębszym przekonaniu nawet połowa polskich magistrów jest fikcją. Sutryk pewnie i ma coś na sumieniu, lecz nie sądzę, aby bardziej i więcej niż milion innych anonimowych „magistrów”.

Collegium Humanum to zapewne granda wyjątkowa, lecz dziesiątki innych tego rodzaju pseudo-uczelni mają się świetnie, a nie powinny.

Dla etyki problem przykładowego karania, podobnie jak problem kozła ofiarnego (są to właściwie dwie wersje tego samego zjawiska) to twardy orzech do zgryzienia. Nie zgryziemy go tutaj. Warto jednakże wiedzieć, na czym polega paradoks. Otóż przestępstwo nie powinno być uważane za złe i mniej znaczące po prostu dlatego, że jest bardzo pospolite. A jednak my, lud, tak uważamy! Ukaranie jednego spośród tysięcy bezkarnych przestępców nie jest niesprawiedliwością, lecz pojedynczym i kruchym jej przejawem. A jednak my, lud, tak uważamy. Bo sprawiedliwość ludowa a sprawiedliwość filozofów to dwie różne sprawy. I to nas, filozofów, mocno niepokoi. Ktoś tu najwyraźniej nie czai bazy. Tylko kto?

JAN HARTMAN

MÓZDZEK TYGODNIA

Głęb przyciąga bełkot z siłą, która jest wprost proporcjonalna do iloczynu masy głęba i bełkotu oraz odwrotnie proporcjonalna do kwadratu różnicy odległości między nimi – tak brzmi prawo powszechnej głupoty, a dowodem na jego poprawność jest istnienie we wszechświecie Rafała Bochenka, posła Prawa i Sprawiedliwości. Ostatnio odkrył on zależność między decyzją Państwowej Komisji Wyborczej o odrzuceniu sprawozdania finansowego PiS-u za zeszły rok a sfałszowaniem wyborów prezydenckich, które mają się odbyć w maju przyszłego roku.

Były pogodynek i rzecznik prasowy rządów Szydło i Morawieckiego zauważył, że decyzja PKW wpisuje się w ciąg nielegalnych decyzji, jakie są od

pewnego czasu forsowane przez część obecnego składu tego gremium. I dalej: Za odebraniem bez podstawy prawnej PiS środków finansowych, które przysługują każdej partii politycznej, głosowali nominaci polityczni obecnej koalicji 13 grudnia, natomiast sędziowie zasiadający w PKW głosowali za zatwierdzeniem sprawozdania. Co prowadzi Bochenka do rozumnego według niego wniosku, że planem obecnie rządzących jest eliminowanie jedynej realnej opozycji w Polsce poprzez bezprawne administracyjne działania. Wszystko na to wskazuje, iż jest to element przygotowania do oszustwa w zbliżających się wyborach prezydenckich.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Upadek etyki łapówkarskiej

O sprawie Sutryka z ukosa

Do domu prezydenta Wrocławia, Jacka Sutryka, w czwartek 14 listopada po szóstej rano zapukali mleczarze, a Centralne Biuro Antykorupcyjne. To odprysk afery lewych dyplomów MBA w Collegium Humanum, które dla polskich polityków (głównie z PiS i PO) były przepustką do sutych wynagrodzeń w radach nadzorczych spółek państwowych i samorządowych.

Zaradny prezydent

Kiedy w kwietniu tego roku, dzień po I turze wyborów samorządowych, ówczesny kandydat Sutryk opublikował potwierdzenie przelewu 9,5 tys. zł za studia i ogłosił: *Za studia zapłaciłem z własnej kieszeni, zdałem również egzamin* – sądził zapewne, że to zamknie sprawę. Mylił się.

Zanim prezydent Wrocławia wrócił do pełnienia obowiązków w magistracie – zastosowano wobec niego poręczenie majątkowe w wysokości skromnych 200 tys. zł – usłyszał od prokuratury cztery zarzuty, z czego jeden korupcyjny. Reszta dotyczyła oszustw.

Sutryk dzięki papierkowi od feralnej szkółki zarobił 230 tys. zł w samorządowych spółkach: Kolejach Dolnośląskich, Śląskim Centrum Logistyki w Gliwicach i Regionalnym Centrum Gospodarki Wodno-Ściekowej w Tychach. Zwłaszcza ta ostatnia wydaje się prorocza – jeśli nie zostanie oczyszczony z zarzutów, to jego nazwisko już zawsze będzie łączone ze ściekiem.

W razie gdyby ktoś zastanawiał się, co prezydent Wrocławia robił w Tychach – uspokajamy: zupełnie przez przypadek ówczesny prezydent Tychów, Andrzej Dziuba (obecnie senator koalicji rządzącej), zarobił swoje we Wrocławiu.

A konkretnie – w spółce miejskiej Stadion Wrocław. I wystąpił tu bardzo zabawny zbieg okoliczności: Dziuba zasiadł w radzie nadzorczej wrocławskiego stadionu w maju 2020 r.; Sutryk pojawił się w tyskich ściekach miesiąc później.

Oczywiście powyższe fakty dowodzą jedynie fachowości obu i nie śmiem bynajmniej twierdzić, że było to cyniczne uwłaszczanie się na publicznym majątku. I zupełnie nie wiem, czemu przypominają mi się sławetne słowa Marcina Hożały z PiS: *Jeżeli ktoś cokolwiek ukradł niezgodnie z procedurami, to oczywiście musi oddawać*.

Samorządowcy z PO, jak mogą podejrzewać obywateli naszego wesołego kraju, kradną zgodnie z procedurami, więc nic oddawać nie muszą.

Zepsuty rynek korupcji

Oczywiście w mafii – tak rządowej, jak i samorządowej – obowiązuje zasada trzech muszkieterów: jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Sutryk dzień później pojawił się uśmiechnięty



w magistracie, podkreślając, że dostaje od wielu wrocławianek i wrocławian głosy wsparcia. Pewnie tysiące kolejnych marzą o tym, żeby wyrazić wsparcie, tylko nie mają jego numeru telefonu...

Mówiąc w skrócie, Sutryk twierdzi, że jest niewinny, a wszelkie zarzuty

karne pod jego adresem są absurdalne.

Przy prezydencie miasta tkwi miejscowa lewica oraz platformersi ze swoimi przydupasami. I tylko ludzie podli mogą to wiązać z zarabianiem radnych w magistracie czy spółkach miejskich. Czuć w nich znamienitych znawców dziejów, podążających za adresem do cesarza austriackiego Franciszka Józefa, który uchwalono przez Galicyjski Sejm Krajowy 10 grudnia 1866 r., zawierającym pamiętne słowa: *Przy Tobie, Najjaśniejszy Panie, stoimy i stać chcemy*.

Nie rozumieją oni, że jednym jest domniemanie niewinności, a czymś zupełnie innym prezydentura miasta wojewódzkiego osoby z takimi zarzutami.

Najlepsze, że wedle prokuratury najcięższy kaliber miała łapówka dla rektora CH, Pawła Cz., jaką miało być fikcyjne zatrudnienie go przez miejski Wrocławski Park Technologiczny jako doradcy, za co obrotowy akademik miał przytulić 75 tys. zł. Sutryk wyjaśniał dziennikarzom: *Zatrudnienie rektora Collegium Humanum jako doradcy we Wrocławskim Parku Technologicznym*

to nie była moja inicjatywa. Proszę pamiętać, że to spółka prowadzona z wyższymi uczelniami. Wiedziałem, że on tam jest, ale nie wiedziałem, co tam robi. Takimi rzeczami się nie zajmuję.

Co ciekawe, właśnie teraz Paweł Cz. został zwolniony z aresztu, bo był grzeczny i współpracował z prokuraturą. Widać chłop nie był do końca uczciwy wobec partnerów w procederze korupcyjnym i – jak mawiają chłopaki z miasta – popruł się i zdradził szczegółów handlu dyplomami w CH. Człowiek ten to charakter czarny, bo nielojalny.

Nie mamy pojęcia, czy i jakie kwity i zeznania mają na Sutryka. Znajac jakąś polskiego wymiaru sprawiedliwości, wyrok zapadnie za parę lat i będzie ludzi obchodził tyle, co zbiory manioku w Afryce. Jeżeli jednak – tryb warunkowy jest konieczny – prawdą okażą się zarzuty, to mamy do czynienia z kolejnym obniżeniem standardów publicznych, i to w grupie, w której już uprzednio nie były one szczególnie wysokie.

Klasyczna korupcja wyglądająca „po bożemu”, jest opłacana z własnej kieszeni. Daję łapówkę, żeby zarobić znacznie więcej, niż dałem. W przypadku kobiet bywa to jeszcze prostsze i tańsze, bo wielu samców zamiast przemówienia do portfela preferuje korzyść niemającą w postaci zbliżenia lub „innych czynności seksualnych”.

Nie sposób wykluczyć, że – jeśli schemat odkryty przez prokuraturę okaże się „niezgodną z procedurami” kradzieżą, a nie tylko naigrywaniem się z obywateli, amoralnym, lecz bezkarnym – mamy do czynienia z pełzającym psuciem rynku łapówkarskiego. „Uczciwy” łapówkarz, płacąc materialnie lub seksualnie, jest bez szans z łapówkarzem „nieuczciwym”, który za prywatną korzyść dla siebie płaci publicznym groszem.

W tym kraju nawet korupcja, czyli z łaciny, zepsucie, się psuje...

ZUZ

Bój i gnój Związku Miast Polskich

Skutki uboczne wrocławskiej zadymy

Nie budzi zdziwienia fakt, że Związek Miast Polskich wylizuje jaja, tfu, rany po ciosie zadany przez Centralne Biuro Antykorupcyjne prezydentowi Wrocławia. Wszak Jacek Sutryk jest nie tylko prezesem tej organizacji samorządów miejskich, ale wręcz jej twarzą. W świetle ostatnich wydarzeń został gębą. Być może dzięki temu ZMP pojedzie gołą dupą po lodzie. Dobrze im tak!

W związku z zaobrączkowaniem Sutryka zarząd Związku wystosował oświadczenie. Wyraził *zaniepokojenie zastosowanym środkiem przymusu w formie zatrzymania prezydenta*, podkreślił, że *mimo obowiązującej zasady domniemania niewinności sposób, w jaki zdecydowano się przedstawić zarzuty, przerodził się w wielogodzinny medialny spektakl darówkowania informacji, nadając im sensacyjnego charakteru*, oraz zapewnił o oczekiwaniu na szybkie i rzetelne wyjaśnienie sprawy przez organa państwa. Oświadczenie można by wsadzić tam, gdzie hemoroidy bronią dostępu światła – gdyby nie dwa całkiem świeże wątki, które dzięki aferze z Sutrykiem nadają ico komediowego charakteru całej działalności ZMP.

Zady na posady

Trzy tygodnie temu ruszyły prace nad zmianami dotyczącymi zwiększenia autonomii samorządów i odbudowy ich kompetencji. Przez osiem lat rządów Prawo i Sprawiedliwość powolutku, acz sukcesywnie kastrowało samorządy z decyzyjności. Odebrało im kontrolę nad ośrodkami doradztwa rolniczego, odjęło prawo do mianowania kuratorów oświaty, scentralizowało pieczę nad Wojewódzkimi Ośrodkami Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej... Długo by wymieniać. Do sprawy odniósł się sam premier Tusk w trakcie exposé 12 grudnia 2023 r., zapowiadając odwrócenie trendu narzuconego przez poprzedników. Słowo się rzekło, a kobyła stanęła u płota.

4 listopada w siedzibie MSWiA odbyło się spotkanie ministra spraw wewnętrznych i administracji Tomasza Siemoniaka z samorządowcami. W imieniu strony samorządowej głos zabrał prezes Związku Miast Polskich Jacek Sutryk, który nabrzmiał od charakterystycznej dla siebie bufonady pucował berło samorządów i perorował o zdemoralizowaniu pisiej bandy. Uwienieniem tej nudnej jak dziesiątka różańca akademii było złożenie na ministerialne ręce wypracowanego

przez ZMP dokumentu zawierającego propozycje zmian legislacyjnych w najbardziej palących samorządowych kwestiach.

Prezydent Wrocławia akcentował, że pod papierem podpisali się reprezentanci wszystkich szczebli samorządowej drabiny: od samorządów wojewódzkich przez miasta, miasteczka, powiaty, gminy i gminy wiejskie. *Wspólnym mianownikiem jest chęć poprawy jakości usług publicznych w naszym kraju. (...) To krok, który pozwoli znieść bariery utrudniające funkcjonowanie samorządów* – chwalił Sutryk. I to jak!

W piśmie oprócz zmian m.in. w naliczaniu opłat za wywóz śmieci czy reformy zarządzania oświatą ZMP zaimplémentował także uchylenie zakazu zasiadania miejskich włodarzy w spółkach komunalnych.

Co więcej, przepis miałby zostać zmodyfikowany tak, żeby lokalne tuste koty mogły zasiadać nie tylko w spółkach własnej gminy, ale także w spółkach skarbu państwa i innych spółkach samorządowych, nawet oddalonych o wiele kilometrów. I znowu w pewnym sensie ten ruch nie dziwi, praktyka pasienia samorządowych dup na publicznych spółkach była równie obrzydliwa, co powszechna. Sam Sutryk jeszcze w 2022 r. zarabiał całkiem przyjemne pieniądze piastując stołki w radach nadzorczych Śląskiego Centrum Logistyki w Gliwicach i Regionalnego Centrum Gospodarki Wodno-Ściekowej w Tychach. Z postulatu, który można nazwać wizerunkowym strzałem w kolano, zrobił się gruby przypał, kiedy wraz z zarzutami CBA wyszło na jaw, że prezydent Wrocławia prawdopodobnie kupił dyplom

MBA Collegium Humanum upoważniający go do zasiadania we wspomnianych radach. A to nie koniec wizerunkowych porażek Związku Miast Polskich z Sutrykiem na czele.

Bajki dla potłuczonych

6 listopada Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego opublikowało raport z konsultacji publicznych nad koncepcją wdrożenia do polskiego porządku prawnego Europejskiego Aktu o Wolności Mediów. Celem proponowanych regulacji prawnych jest m.in. ograniczenie działalności jednostek samorządu terytorialnego (JST) na rynku prasy.

Przekładając z administracyjnego na polski, nowa ustawa upierdoli medialne macki samorządowej propagandy, której koszty szły w miliony złotych. Jak uprzejmie doprecyzował resort, zakaz będzie odnosił się nie tylko do jednostek samorządu terytorialnego, ale także do wszelkiego rodzaju podmiotów od nich zależnych i im podległych. Chodzi m.in. o samorządowe jednostki organizacyjne, spółki z udziałem samorządów i ich związków i stowarzyszeń oraz podmiotów przez nie kontrolowanych – tak żeby lokalni klaskierzy nie obeszlą przypadkiem prawa.

Koncepcję resortu kultury od początku torpedowali samorządowcy ze Związku Miast Polskich. W ich ocenie zakaz wydawania prasy przez JST to *pogwałcenie prawa do promowania miasta i informowania mieszkańców dostępnymi środkami komunikacji*.

Pod równie obszernym, co pozbawionym racji bytu oświadczeniem ZMP podpisał się sam Sutryk. Argumentem o pogwałceniu prawa do promowania miast można wytrzeć buty. Nowe przepisy zakładają, że działalność informacyjna samorządów zostanie zachowana, ale ściśle określona i ograniczona do biuletynów informacyjnych, które nie będą mogły nosić znamion artykułów prasowych. Obecnie organy władzy lokalnej udając prasę utrzymują się z publicznej kasy i reklam komercyjnych. Autorzy artykułów często są urzędnikami albo pracownikami działu promocji. Podobnie ma się sprawa miejskich portali internetowych. Cały konglomerat sprawia, że lokalne niezależne media tracą siłę przebicia wobec propagandowej tuby włodarzy. Zeby sprawdzić, jak to działa, wystarczy zajrzeć na portal www.wroclaw.pl, gdzie afera z prezydentem w roli głównej, którą żyło całe miasto, została sprowadzona przez głównego zainteresowanego do suchego oświadczenia, że wszystko gra. I zniknęła zatopiona między wystawą kotów, pierników i jarmarkiem świątecznym.

Ciężko stwierdzić, czy Związek Miast Polskich ma za prezesa prezydenta Wrocławia, czy prezydent Wrocławia ma Związek Miast Polskich. Niezależnie od tego, kto jest na górze, brzydko się zabawiają.

IDALIA DUBICKA

R E K L A M A

Wojciech Kuczok
co tydzień o piłce nożnej

Prof. Adam Leszczyński
Narutowicz zamiast Dmowskiego

Tomasz Miłkowski
Nowe życie Teatru Telewizji

Jak politycy PiS zarznięli
PKP Cargo

tygodnikprzeгляд.pl

Przeгляд

Wojciech Kuczok CO TYDZIEŃ O PIŁCE NOŻNEJ

Prof. Adam Leszczyński Narutowicz zamiast Dmowskiego

Tomasz Miłkowski Nowe życie Teatru Telewizji

Jak politycy PiS zarznięli PKP Cargo

PARTIA TRUMPA W POLSCE

Grozi nam ciemnota

Czy niedługo zabraknie prądu?

Ciemność widzę, ciemność – ta słynna fraza Jerzego Stuhra z kultowej „Seksmisji” może już za kilka lat okazać się boleśnie proroczą. Najnowszy raport Polskich Sieci Elektroenergetycznych (PSE), zatytułowany „Ocena wystarczalności zasobów na poziomie krajowym 2025–2040” sugeruje, że może już w 2026 r. Polska nie będzie w stanie wygenerować energii pokrywającej krajowe zapotrzebowanie. Prognozy na najbliższą dekadę są zaś tragiczne.

Winny Gierek

Abstrahując od koszmarnego technicznego żargonu, że o licznych tabelach i wykresach nie wspomnę, raport przynosi bardzo ważne informacje, których nie sposób lekceważyć. Budując mknące ponad 300 km/h pociągi, CPK, promując elektryfikację samochodów osobowych, wspierając pożerającą masę energii sztuczną inteligencją i centra danych, rządzący jakby zapomnieli o stanie rodzimej energetyki.

Jeśli chodzi o produkcję prądu, to obecne dziesięciolecie jest kolejną dekadą Gierka. Gdyby nie nakłady poczynione przezeń i kontynuowane przez ekipę gen. Jaruzelskiego, to Polacy w domach świeciłoby co najwyżej przykładem.

Średni wiek bloku, w którym spala się węgiel kamienny lub brunatny wynosi 37 lat. 88 proc. z nich ma powyżej 20 lat. Jednostki w wieku 40 i więcej lat stanowią 60 proc., a więcej niż co piąta ma ponad pół wieku.

Struktura procentowa mocy zainstalowanej brutto w naszym kraju na koniec zeszłego roku wygląda na pozór niezłe. Najwięcej energii mogą produkować odnawialne źródła energii (OZE) – prawie 44 proc., węgiel kamienny – ponad 37 proc., węgiel brunatny – ponad 12 proc., a gaz – mniej niż 7 proc. Rzecz jednak w tym, że wpływ na to mają nie tyle postępy w dziedzinie OZE (zwłaszcza fotowoltaice), ile sukcesywne wyłączanie kolejnych bloków węglowych.



Rys. KRZYSZTOF OLEJNIK

Wszystko na to wskazuje, że Polsce przyjdzie błagać UE, aby pozwoliła na dalsze używanie wysłużonych, niezbyt ekologicznych i niezbyt efektywnych elektrowni węglowych. Jako iż są u nas firmy z całej Europy, Unia pewnie się zgodzi, ale tow. Gierek przewidywał żywotność bloków węglowych na jakieś 40, może 45 lat, więc i tak trzeba będzie sporo z nich wyłączyć.

Czas nagli

Na leninowskie pytanie *co robić?* – odpowiedź jest dość prosta.

Po pierwsze, natychmiast zacząć budować magazyny energii i gazowe bloki energetyczne, cały czas idąc na pełnej petardzie w OZE – fotowoltaikę, elektrownie wiatrowe (lądowe i morskie), elektrownie na biomasę i biogaz.

Po drugie, zacząć przyglądać się stronie popytowej równania.

Co do gospodarstw domowych, to już teraz wiele osób ledwo płaci rachunki za energię elektryczną, nasze mieszkania zaludnia coraz więcej elektroniki (a przez ocieplenie klimatu będzie coraz więcej klimatyzacji), więc tu pole do oszczędzania jest dość ograniczone. Sytuacja jest dość kłopotliwa, bo najwięcej prądu żrą stare sprzęty gospodarstwa domowego, a jak cię nie zawsze stać na chleb, to pewnie nie wydasz paru tysięcy na nową lodówkę, pralkę czy telewizor.

W naszym kraju jest wiele energochłonnego przemysłu. Choć sytuacja dość szybko się poprawia (aczkolwiek w niewielkiej mierze dzięki państwu), aby osiągnąć średnią unijną efektywność energetyczną, potrzeba nam będzie 20 lat. Jedynie parę krajów europejskich z każdej jednostki energii wytwarza mniej PKB niż Polska.

Jak 80 lat temu zauważył biedny farmer z Tennessee podczas spotkania w kościele, *najważniejszą rzeczą na ziemi jest mieć Boga w sercu, a drugą po niej – mieć elektryczność w domu*. Jeśli na początku przyszłej dekady miliony Polaków odczują, że łatwiej mieć Boga w sercu niż prąd w gniazdku, rządzący zapewne zostaną rozniesieni w puch.

Co powinni wziąć sobie do serca wszyscy polscy politycy, bo zamiast nowoczesnej gospodarki będziemy mieć tu Trzeci Świat.

K.K.

Jedynymi Polakami chcącymi wracać do kraju są ci, którzy siedzą w więzieniach na obcych kontynentach.

W pamiętnym spiczu Tuska o zawieszeniu azylu pojawiła się fraza: *Mamy w planie politykę przyspieszonych powrotów Polaków z diaspory. Dlaczego 18-letnia Polka, 20-letni Polak mieszkający w USA czy Anglii nie chciałby wrócić tutaj?*

Władysław Kosiniak-Kamysz nie mógł być gorszy, więc parę dni później zapowiedział, że *PSL przedstawi program powrotu Polaków do ojczyzny*.

To jest wspólnota polska na Wschodzie, która chce do Polski wrócić. To jest młoda emigracja, którą musimy do Polski przyciągnąć – bajdurzył ojczyznian Tygrys, dodając to, co opowiadają polscy ministrowie i premierzy od 30 lat: że stworzony program ma zapewniać zachęty dla firm i rodzin, które chciałyby się przenieść do kraju.

Gdzie ci Polacy?

Według prognoz GUS w 2050 r. osoby mające więcej niż 60 lat będą stanowić 40 proc. społeczeństwa. Ich liczba skoczy z dzisiejszych 9 mln do prawie 14 mln osób. A potem będzie jeszcze starzej i mniej ciekawie.

Z szacunków Eurostatu wychodzi, że ludność Polski w 2100 r. spadnie z dzisiejszych 37,6 do 29,5 mln. Znacznie bardziej pesymistycznie ocenia naszą przyszłość ONZ. Jej eksperci zakładają, że populacja Polski wyniesie w 2100 r. 24 mln osób. Według niektórych symulacji istnieje nawet szansa, że będzie nas mniej niż 20 mln.

Według jednych i drugich szacunków wesoło nie będzie. W latach 2022–2100 liczba zgonów w Polsce wyniesie aż 34,4 mln. Nad Wisłą urodzi się zaledwie 21 mln osób. Przyrost naturalny wyniesie zatem minus 13,4 mln osób.

Jeszcze w 2012 r. w połowie polskich powiatów rodziło się więcej osób, niż umierało. W 2023 r. jedynie nieliczne powiaty zanotowały nadwyżkę urodzeń nad zgonami. Dodatkowo mamy w kraju bardzo wiele powiatów, gdzie liczba zgonów była w zeszłym roku dwu-, a nawet trzykrotnie wyższa niż liczba urodzeń.

Średni wiek Polaka lub Polki to dziś niemal 43 lata, ale w 2100 r. będzie to

50,4 roku. Dojdzie więc do rewolucyjnej zmiany populacji w wieku produkcyjnym. A to właśnie ona ma zarabiać, płacić podatki i składki emerytalne. Według Eurostatu, o ile populacja spadnie o 8,14 mln osób, to w grupie wiekowej 15–64 lata spadek będzie najgłębszy i wyniesie 8,6 mln. Liczba ta zleci z 24,6 mln dziś do 16 mln w 2100 r. Największe spadki liczby osób pracujących nastąpią w latach 2030–2060. Grupa w wieku 15–64 lata pomniejszy się w tym okresie o 6 mln osób.

Różnica w wyliczaniu przez ONZ i Eurostat liczby Polaków za kilka dziesięcioleci zasadza się na podejściu do imigracji. ONZ zakłada, że będzie ona w najbliższych kilkudziesięciu latach zerowa. Eurostat przewiduje wzbogacenie Polski o 5,2 mln imigrantów.

Chlebem, solą i czerwonym dywanem

Imigranci są niemiłe widziani. Dlatego non stop walczy się kwestię powrotów. Za PiS Gowin usiłował ściągnąć ze świata polskich naukowców. Był program, była kasa i wyszło jak zwykle. W 2020 r. PiS chciało znówelizować ustawę repatriacyjną i stworzyć takie prawo, które ułatwi legalne zamieszkanie w RP – jak to ujął wówczas Dworczyk – *wszystkim potomkom mieszkańców I i II Rzeczypospolitej, którzy deklarują związek z Polską*.

Jak wyobrażał sobie dokumentowanie pochodzenia od Żmudzinów, czy XVII-wiecznych Kijowian – nie wspominał. A przez tereny te przewaliło się w ostatnich stuleciach kilka rzezi zwanych powstaniami ludowymi, dwie wojny światowe, kilkanaście wojen lokalnych oraz rewolucja październikowa, o ostatniej agresji Putina nie wspominając. Każda zaś z tych okoliczności wiązała się z puszczaniem z dymem wszystkiego, co było palne, ze szczególnym uwzględnieniem dokumentów.

Tak naprawdę cała opowieść o powrotach do macierzy sprowadzała się do dania możliwości zarobku kolegom w polskich placówkach na Białorusi

Życie w dobrobycie

Parafia z warszawskich Bielan poszukuje kościelnego, organisty oraz osoby do sprzątania. Kandydat na kościelnego powinien wykazać się *znajomością Liturgii, niekaralnością, sprawnością fizyczną, asertywnością, dyspozycyjnością oraz umiejętnością nawiązywania kontaktów interpersonalnych*. W ogłoszeniu zaznaczono, że możliwa jest praca w godzinach popołudniowych oraz w weekendy. Oferta zawierała też widelki zarobków kościelnego. Proponowane miesięczne wynagrodzenie brutto to od 5380 do 6117 zł. Takie same pieniądze jak dla kościelnego bieleńska parafia przewiduje również dla osoby do sprzątania. Żeby jednak wskoczyć na to stanowisko, należy udokumentować co najmniej dwuletnie doświadczenie zawodowe w branży sprzątającej. Nadto kandydat do sprzątania musi być *niekaralny, obowiązkowy, pracowity i wykazywać się sprawnością fizyczną*. Parafia wymaga od takiej osoby również wiedzy na temat działania i obsługi zarówno zwykłych maszyn czyszczących, jak i tych bardziej zaawansowanych i nowoczesnych. Konieczna jest też znajomość środków czyszczących i ich działania, dbałość o szczegóły, a także dobra umiejętność zarządzania czasem.

Jest mało prawdopodobne, by na fuchę kościelnego lub na mopa przekwalifikowali się zwalniani z państwowych fuch księża. Ale kto wie? W tym roku zaszczyt bycia kapelanem w Krajowej Administracji Skarbowej straciło trzech klechów i teraz w skarbowce – jak poinformował wiceminister finansów Jurand Drop – *służbę pełni ośmiu duchownych*. Wszyscy oni mają status funkcjonariusza Służby Celno-Skarbowej. A ponieważ uposażenie zasadnicze duchownych o statusie funkcjonariusza Służby Celno-Skarbowej określa się na podstawie rozporządzenia, to teraz kapelan fiskusa może przytulać miesięcznie od 5714 zł do 9925 zł brutto. No i dodatkowo nagrody roczne i jubileuszowe.

Napomkaliśmy już, że oprocentowanie kredytów mieszkaniowych w Polsce jest najwyższe w Unii Europejskiej. Teoretycznie wynika to z polskich wysokich stóp procentowych. Wszak według danych Europejskiego Banku Centralnego w lipcu 2024 r. średnie oprocentowanie nowo udzielanych pożyczek hipotecznych w Polsce wynosiło nieco ponad 7,9 proc., a średnia w strefie euro wynosiła 3,75 proc. Tańsze kredyty mieli Węgrzy – 7 proc., Rumuni – 6,3 proc. i Czesi – 4,9 proc. Tyle że w Czechach, gdzie stopy procentowe były w ostatnich dwóch latach podobne jak w Polsce, koszt nowych kredytów mieszkaniowych w lipcu 2024 r. był o 3 pkt proc. niższy niż u nas. Co jest o tyle zabawne, że różnica w głównej stopie procentowej naszego i czeskiego banku centralnego wynosiła ledwie 1 pkt proc. To zaś pokazuje, że przez banki jesteśmy obgryzani do gołej kości. Polski sektor bankowy widzi to inaczej; uważa, że to on jest ofiarą państwowej zachłanności i wysokimi stopami pożyczek tylko stara się ratować. Związek Banków Polskich załkał nawet w komunikacie, że *w latach 2015–2024 skala obciążeń sektora bankowego osiągnęła absurdalny poziom 166 mld zł. Żaden inny sektor gospodarki nie musi ponosić takich obciążeń*. Jednak towarzystwo nie napisało o tym, że to nie jakiś wydumany sektor zapłacił te miliardy, tylko klienci banków, czyli my wszyscy. Gdyby ktoś nie wierzył, to winien wiedzieć, że w tym roku – po opłaceniu wszystkich *absurdalnych obciążeń* – działające w Polsce banki osiągną nienotowany dotąd rekord w zysku netto. Wyniesie on 40–42 mld zł.

Banksterski zysk netto liczy się bez wynagrodzeń swoich pracowników, które przecież idą w koszty. Te zaś GUS – publikujący kolejną porcję cyfr do pośmiania się – wyliczył na 13 236 zł brutto. Bo w trzecim kwartale o 966,67 zł poszła w górę średnia zarobków w gospodarce narodowej. Rok do roku daje to wzrost o 13,4 proc. Średnia płaca gospodarki narodowej wynosi więc 8161,62 zł brutto. To nie koniec przyprawiających o uśmiech danych. W drugim kwartale w administracji publicznej i obronie narodowej zarabiali się średnio 9570 zł miesięcznie brutto. W górnictwie – 12 586 zł, energetyce – 10 646 zł, a w informacji i komunikacji – 13 449 zł. O sektorze kościelnym znowu nie wspomniano.

TTJ

Dziedzice państwa PiS

Dziwne, że ktoś się jeszcze dziwi, że w państwowych firmach zasiadają zawsze sami sami rządzących.

Niedawno temu Onet obruszył się strasznie, bo dostał cynk, że przesłuchania kandydatów na prezesa Totalizatora Sportowego trwały po 10 minut, a rada nadzorcza zadawała im po dwa ogólnikowe pytania. Oczywiście wygrał ten, kto miał wygrać.

Po co iść do polityki?

Na tym jednak nie koniec, bo gdy zaczęto skrobać głębiej, okazało się, że Totalizator Sportowy ma nowych dyrektorów w 13 regionach Polski i są nimi lokalni radni ludowców, Platformy Obywatelskiej, byli kierownicy biur parlamentarnych ministra sportu Sławomira Nitrasa i senatora Stanisława Gawłowskiego, a w Gdańsku – trójmiejski przedsiębiorca grywający w piłkę z lokalnymi politykami PO.

Drogą Onetu poszła Wirtualna Polska i odkryła, że we władzach Specjalnych Stref Ekonomicznych podlegających Ministerstwu Rozwoju i Technologii zdomowali się działacze partyjni rządzącej koalicji.

W 14 strefach dziennikarze doliczyli się 20 osób powiązanych z aktualną władzą, które wskoczyły na stołki w ostatnich miesiącach. Tym razem władza nie uruchomiła miotły, stwierdzając, że faktycznie te osoby związane są z daną partią, ale *posiadają niezbędne kwalifikacje*.

Niezrażona brakiem dymisji WP grzebała dalej i wynalazła we władzach zbrojeniowych spółek skarbu państwa polityków, działaczy,

a także byłych posłów związanych z aktualnym układem. Chyba nikogo nie zdziwi, że w zbrojeniówce nader poczesną rolę w obsadzaniu zarządów i rad nadzorczych odegrała partia Kosiniaka-Kamysza, czyli PSL.

Jak wiadomo, rządząca koalicja składa się z mnóstwa partii i kanap politycznych. Ich członków w sumie liczyć trzeba na ponad 100 tys. osób. Kapitalistyczny etos mówi, że każda forma aktywności powinna przynosić profity. Nie po to więc mnóstwo działaczy przez ostatnie lata miast przechrzcić się na PiS, trzymać się PO, Lewicy czy PSL, żeby nic z tego nie mieć. Każdy, kto uważa inaczej, nie ma pojęcia, jak działa polityka. Jest jednak coś, co mimo wszystko powinno być brane pod uwagę. Tym czymś są po prostu kwalifikacje, rachunek ekonomiczny i zdrowy rozsądek. Tego zaś w skoku na państwo zawsze politykom brakuje.

Co by tu jeszcze?

Przed 10 laty – gdy PiS dopiero śniło o władzy – Marek Suski opowiadał, że na państwowych stołkach z nadania PO i PSL zasiada około 8 tys. osób. Nie minęło półtora roku i całe to towarzystwo zostało wymiecione, a ich posadki objęli ludzie Zjednoczonej Prawicy.

Najszybciej poszło w spółkach skarbu państwa. Po roku liczbe pisowskich nominatów szacowano tam na 500 osób, by po kolejnym roku skonstato-

Neopolacy na miarę naszych marzeń

i Ukrainie. Gdzie to, co miało związek z Polską, zawsze opierało się na łapówce. Czy chodziło o wizy, czy o przesłuchania na Kartę Polaka, czy – jak w Kazachstanie – procedurę repatriacyjną. Dla komfortu urzędników wymyślono *deklarowany związek z Polską*. Jeśli zatem Białorusin, Ukraińiec czy Rosjanin powiedziałby, że co prawda po polsku zna tylko słowo *kurwa*, ale za to kocha kraj swoich przodków całym sercem i duszą, na co załącza dowód w postaci koperty ze stosowną zawartością – nic nie stałoby na przeszkodzie, by nagrodzić go polskim paszportem. Ustawy nie wprowadzono, a dzięki wojnie Ukraińcy zyskali możliwość przeprowadzki do Polski bez dawania w łapę.

Zamiast ściągać repatriantów, PiS zaliczyło kłapę przyspieszenia wydawania Kart Polaka – dokumentów uprawniających do mieszkania, pracy i nauki w Polsce. Do 2019 r. o Kartę mogli występować tylko obywatele zamieszkujący państwa poradzieckie. Zdaniem PiS takich z polskimi korzeniami powinno tam być nawet 10 mln osób. Szacunki te mocno przeszelono. Przez trochę ponad dekadę dokument potwierdzający *przynależność do Narodu Polskiego* wydano ok. 250 tys. osób. W ponad 90 proc. obywatelom Ukrainy i Białorusi.

Bóg zapomni o Polsce...

Niewdzięczność Polaków ze Wschodu zdumiała PiS. Dlatego klepnięto nowelę ustawy o Karcie Polaka, rozszerzając ją o obszar byłego ZSRR na cały świat. Czyli również na Amerykę Północną, skąd nikt chyba do Polski nie chce dobrowolnie migrować, oraz na Amerykę Południową, gdzie w Brazylii i Argentynie żyje – jak to wyliczyło MSZ – 2,5 mln potomków Lecha. Nowelizacja weszła w 2019 r. Pierwszą

ILUST. KRZYSZTOF OLEJNIK



Kartę Polaka dla osoby z Ameryki Południowej dostał Lourival Araujo Filho, kierujący polonijnym zespołem folklorystycznym Wisła z Kurytyby. Pan był też prezesem Towarzystwa im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Kurytybie, które cechowało to, że chętnie gościło polityków PiS.

Nie powiedłó się też sztandarowe posunięcie PiS skierowane na Polaków z Kazachstanu. Anna Maria Anders jako pełnomocniczka prezesa Rady Ministrów ds. dialogu międzynarodowego opowiadała w 2016 r., że na nową ustawę o repatriacji czeka w Kazachstanie ok. 43 tys. Polaków, a 10–15 tys. z nich może chcieć wrócić do Najjaśniejszej. Obiecywała też, że nowa ustawa ma objąć ok. 10. tys. osób, a także że *w ciągu*

10 lat wszyscy potomkowie represjonowanych będą mogli wrócić do Polski. Zbigniew Gryglas, gdy jeszcze był posłem klubu PiS, grzmiał, że jeśli Polska zapomni o swoich rodakach w Kazachstanie, to Bóg zapomni o Polsce.

Nie bardzo otóż. Wszak wielkim przeciwnikiem repatriacji z Kazachstanu był i jest w Polsce Kościół katolicki. Kiedyś najdobitniej wyrażał to za kularami prymas Glemp. Teraz, już ciszej – jego następcy. Powód jest prozaiczny. Jak stamtąd wyjadą Polonusi, to nie będzie miał kto chodzić do katolickich kościołów. Nie będzie więc dokąd wysyłać polskich księży. Puste świątynie trzeba będzie sprzedać, a nie za bardzo jest komu. Dlatego w kwestii repatriacji ze stepów

stanowiskiem Kościoła jest trwałe *non possumus*.

Konkurencja repatriacyjna

Z powrotami miało być pięknie, prosto i z gestem. Wracający do kraju potomkowie zesłańców mieli mieć mieszkania, pracę, szkołę i co tylko im się zamarzyło. Po to znowelizowano w 2016 r. ustawę, której rezultat mówi sam za siebie. W roku 2017 r. repatriowano ok. 550 osób. Rok później – 600. Tyle samo w 2019 r. Potem był koronawirus, po którym repatriacja ledwo zipsała. Generalnie zaś od czasu uchwalenia w 2000 r. ustawy repatriacyjnej skorzystało z jej dobrodziejstwa niecałe 10 tys. osób. Głównie z Kazachstanu. Ile dziś z tych osób mieszka w Polsce, nikt nie wie. Odpowiedzialni za opiekę nad repatriantami urzędnicy samorządowi twierdzą, że zostali tylko staruszkowie. Młodszy zaraz po przyjeździe pojechali z Polski do swoich kazachskich przyjaciół osiedlonych w Niemczech.

Powtarzając głupoty o ściągnięciu Polaków ze Wschodu, Kosiniak-Kamysz udowadnia, że nie ma pojęcia, o czym mówi. Liczba ludności narodowości polskiej w Rosji maleje błyskawicznie. W 2002 r. było 73 tys. takich osób, w 2011 – 43 tys., a w 2021 – jedynie 22 tys.

W Kazachstanie polskość też śmiga w dół: w 1979 r. liczyła ona sobie 61 tys. osób, w 2009 – 34 tys., a dziś szacunki mówią o co najwyżej kilkunastu tysiącach. Na dodatek niecałe 10 proc. tamtejszej Polonii umie powiedzieć cokolwiek po polsku.

Porobiło się tak, bo w ostatnich 25 latach tylko z Kazachstanu państwo niemieckie wysłało ponad 800 tys. swoich – i co cwańszych naszych – rodaków. Ze wszystkich zaś terenów byłego ZSRR do Bundesrepublikii wywedrowało 2,2 mln osób. Putin, który też ma zapas demograficzny, ściągał z kolei do siebie Rosjan. Z Kazachstanu pozyskał ich ponad pół miliona. Kazachstan jednak się nie wyludnia, bo też sprowadza swoich repatriantów. Oblicza się ich na milion, a pochodzą głównie z Rosji. Co świadczyłoby o tym, że z Kazachstanu trudno będzie już kogokolwiek na łono ojczyzny przywrócić.

Jeszcze zabawniejsi są Tusk i Kosiniak-Kamysz w kwestii ściągnięcia z powrotem tych, którzy wyjechali niedawno. Wkrótce będą opowiadali to, co w czerwcu mówił Morawiecki. Były premier obieścił coś takiego: *Cieszę się z tego, że pół miliona Polaków wróciło z imigracji, z emigracji, prawda? Pół miliona Polaków, którzy wyjechali za Tuska, wróciło za Morawieckiego do Polski...* Po czym dodał: *Za rządów Platformy Obywatelskiej Polacy wyjeżdżali z Polski. No miliony Polaków – milion do dwóch milionów Polaków wyjechało, prawda? Teraz pół miliona wróciło dzięki temu, że stworzyliśmy miliony, setki tysięcy, ponad milion nowych miejsc pracy.*

Prawdą jest jedynie to, że

Morawiecki robił za Radio Erewań. W latach 2018–2023 w Polsce zameldowało się na pobyt stały 60 929 obywateli, a wymeldowało 66 241. Bilans migracyjny za ten okres był ujemny i wyniósł 5312 osób. Więc nie 500 tys., ale pięć. I nie wróciło, ale wyjechało.

Na dodatek cytowane powyżej statystyki GUS wcale nie muszą pokazywać całej skali zjawiska, bo wielu rodaków, którzy wyjechali dekady temu i daleko w świecie zapuścili korzenie, nadal jest zameldowanych w Rzeczypospolitej.

Ponieważ wymieramy i emigrujemy, to – zamiast popychać bzdury o mitycznej, łaknącej powrotu do ojczyzny Polonii – wypadałoby się zastanowić, czy nie wykorzystać pomysłu PiS. Może jednak zacząć na masową skalę sprzedawać polskie wizy na straganach? Tyle, że nie w Afryce, lecz krajach Azji Południowo-Wschodniej, której ludność jest bezkonfliktowa i nader pracowita.

TADEUSZ JASIŃSKI

wać, że jest ich już tysiąc. Następne dwa lata spowodowały, że nikt ich nie liczył. Zarządy, dyrekcje i rady nadzorcze oraz zdecydowana większość menedżmentu były związane z władzą. Pobjeżne szacunki pokazywały, że PiS przemnożył liczbę podaną przez Suskiego przez trzy. Pojawili się też instytucje, gdzie rekomendacja partynia była niezbędna nawet do tego, żeby zostać kierową.

Krewni i znajomi „dobrej zmiany” obsadzili 24 tys. stanowisk. Jednak po zwycięstwie liczba członków PiS wzrosła do 45 tys. osób. Każda z nich miała zaś rodzeństwo, wujków, ciotce czy dzieci. Zjednoczona Prawica nie mogła ich zastawić samym sobie.

Instalowanie swoich zaczęto od istniejących już firm i instytucji, powiększając gremia kierownicze. Jeśli gdzieś był prezes lub dyrektor i jeden zastępca, robiło się tych zastępców trzech lub czterech. Kiedy i to nie wystarczyło, tworzone nowe działy, wydziały, czy referaty. Wyłącznie po to, żeby kolejny pisowiec mógł być dyrektorem czy kierownikiem i pobierać z tego tytułu przyzwoite pieniądze.

To wszystko i tak było za mało. Państwo PiS zaczęło przejmować instytucje dotąd niepaństwowe, jak choćby banki. A gdy przejęto, co się dało, a chętnych na fuchy było mnóstwo, władzy nie zostało nic innego jak rozmnożyć byty żerujące na państwie. Stąd wszelkiego rodzaju fundacje, fundusze czy twory biznesopodobne jak klasty.

W ten sposób „dobra zmiana” utworzyła kilkadziesiąt nowych, podległych bezpośrednio i pośrednio rządowi, różnych pod względem formy prawnej podmiotów finansowanych z budżetu państwa. Były to jednostki budżetowe, instytucje kultury, agencje wykonawcze i fundusze celowe, kilkanaście państwowych osób prawnych i jedna instytucja gospodarki budżetowej.

Instytucjonalizacja

PiS najbardziej jednak zakochało się w instytucjach. Tak powołano podległy bezpośrednio premierowi Instytut Strat Wojennych im. Jana Karłowicza. W 2023 r. część budżetu instytucji przeznaczona na prowadzenie działań statutowych wynosiła 17,5 mln zł. Na wynagrodzenia dla pracowników było ponad 4 mln zł. A kwota na wynagrodzenia dla rady instytutu sięgnęła 840 tys. zł.

Instytut powołany tylko dla reparacyjnej idei PiS działa w najlepsze. Tusk odwołał jedynie dyrektora i radę. A mógł pogonić towarzystwo w cholerę, bo instytut nie powstał z mocy ustawy, lecz zwykłego zarządzenia premiera. Zarządzeniem mógł więc być zlikwidowany.

Odrzucono – trzeba przyznać – Instytut De Republica, kierowany przez męża Julii Przyłębskiej. Zajmował się promocją i popularyzacją *rodzimej myśli badawczej z zakresu nauk humanistycznych i społecznych*. Dzięki likwidacji Tusk oszczędził podatnikom przynajmniej kilkanaście milionów złotych. Nie przetrwało też paromiesięczne dziecko Przemysława Czarnka noszące miano Instytutu Badań nad Renesansem i Barokiem im. Jana i Piotra Kochanowskich.

Nie tknięto palcem działającego od 2018 r. Instytutu Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka. Powstał, by przekazywać *młodym pokoleniom znaczenie tradycji polsko-węgierskiej*. W zeszłym roku instytucja ta kosztowała podatnika ponad 10 mln zł.

Polski Instytut Ekonomiczny też utworzono w 2018 r. Po co, skoro władza ma pod sobą zarówno speców z Ministerstwa Finansów, jak i całe zaplecze naukowe oraz Rządowe Centrum Analiz? Co roku instytut pochłaniał grubo ponad 10 mln zł. Nowy rząd instytucjiowi nic nie zrobił, z wyjątkiem wywalenia dyrektora.

Instytut Europy Środkowej też urodził się w 2018 r. Nie zauważono, że pod premierem działał już – zajmujący się dokładnie tym samym – Ośrodek Studiów Wschodnich. Do dziś w instytucji wszystko hula jak za czasów PiS, łącznie z kilkumilionowym budżetem.

Do 2016 r. Instytut Zachodni nie podlegał bezpośrednio państwu. A od tamtej pory podlega, bo w Poznaniu było kilka osób z tytułami, które gdyby nie rząd PiS i mąż Przyłębskiej, nigdy nie załapałyby się na możliwość dysponowania paroma milionami zł. Ponieważ IZ ma swoją wiekową tradycję, to Tusk go zachował, wywalając na zbitą twarz pobierających pieniądze za przynależność do rady naukowej Szymona Szynkowskiego vel Sęka, Arkadiusza Mularczyka oraz Andrzeja Przyłębskiego, męża Julii.



FILIP MIROSLAW HAJNOS

Pielegnacja nowotworu

Piotr Gliński też chciał mieć swoje instytucjonalne imperium. Wymyślił więc w 2020 r. Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Jana Paderewskiego. Bo bez niego rządowi nie udało się realizować polityki w zakresie *historii i dziedzictwa Polski, w tym dorobku polskiej myśli społeczno-politycznej, ze szczególnym uwzględnieniem myśli narodowej, katolicko-społecznej i konserwatywnej*. Instytut miał pod sobą wart 30 mln zł Fundusz Patriotyczny. Ten, z którego miliony przewędrowały do Bąkiewicza.

Poza forsą do dzielenia instytut ma budżet wart kilkanaście milionów złotych. Przy rządach koalicji miłości instytucji tej nie spadł włos z głowy.

W 2018 r. Gliński utworzył Narodowy Instytut Wolności – Centrum Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego. Ten przynajmniej nie musiał udawać, że coś badał, bo był od dzielenia państwowej kasy wśród miłych PiS i Kościołowi pozarządowych stowarzyszeń i fundacji. I oczywiście przy premierze Tusku robi to nadal, tylko adresaci jakby inni.

Amerykanie za swe poparcie dla Ukrainy chcą prawa do wydobywania metali ziem rzadkich. Polacy – zgody na ekshumację pomordowanych tam rodaków.

Celnik z Waszyngtonu

Polscy politycy uprawiają politykę po szlachecku. Wierzą, że jej skuteczność zależy od sympatii i łask okazywanych im przez możnych protektorów.

Ku uciesze jaśniepana

Za I Rzeczpospolitą kariery i dostęp do urzędów zależały od miejsca urodzenia. Dobrze urodzony magnat skazany był na krzesło senatorskie, buławę hetmańską albo kapelusz kardynalski.

Ambitny, lecz gorzej urodzony herbowy musiał wprawdzie trafić na dwór magnata. Jeśli miał protekcję, od razu siedział blisko pańskiego stołu. Jeśli nie, musiał jakoś uwagę protektora zwrócić. Kulawką o stół przewrotnie grzmotnąć albo pierdnąć ucieszenie, do jaśnie nóg hetmańskich padając.

Jeśli tym pana hetmana ucieszył, lubość jego wzbudził, to do kompanii jego trafiał i chleb potem jego jadł. Baczając, aby z łask protektora nie wypaść.

Polityką realną, zwłaszcza transakcyjną, szlachta polska – a potem jej inteligenci potomkowie – oficjalnie się brzydili. Handlem zajmowali się wtedy mieszczanie, zwykle cudzoziemskiego auctoramentu, i pogardzani Żydzi. Nie przeszkadzało to szlachcie i inteligencji brać łapówek od agentów obcych mocarstw. Nie cieszyli się jednak wtedy i agentami też pogardzali.

Kiedy podczas sejmowego posiedzenia rozeszła się wieść o amerykańskiej wygranej Donalda Trumpa, panowie posłowie z PiS i Konfederacji z ław poselskich powstali, bić gromkie brawa jeli i „Do-nald Trump, Do-nald Trump” skandować. Rychło też cały już stan poselski licytować się zaczął, przekrzykując się w internecie, który z nich lepszy ma dostęp do ucha nowego mocarza. Na dowód pokazywali słodkie focie, jakie sobie z nim porobili, lubo ze znacznymi pacholkami jego.

Także najwybitniejsi z krajowego medialnego komentariatu jeli prześcigać się w prorocत्वach, komu i co nowy prezydent USA załatwi. Tak po starej znajomości, dawnej sympatii, bo niejedni polski mąż stanu rozbawił kiedyś prezydenta Trumpa jakimś uciechającym pierdnięciem.

Potęga przyjaźni

W sierpniu 1938 r. feldmarszałek Herman Göring podarował prezydentowi II Rzeczpospolitej najnowszy model wypasionego terenowego Mercedesa G5. Reklamowanego jako samochód do rekreacji. Ponieważ wtedy za rekreację uważano przede wszystkim polowanie, zwano go też myśliwskim.

Prezydent Ignacy Mościcki podarek od Hermana Göringa z radością przyjął. Byli przecież zaprzyjaźnieni. Wspólnie uprawiali „rekreację”, zwykle w Puszczy Białowieskiej. Przyjaźniły się też żony obu dygnitarzy. Prezydent Mościcki uhonorował swego przyjaciela Hermana orderem Orła Białego, podobnie jak prezydent Duda pana posła Antoniego Macierewicza.

O przyjaźń z rekreacyjnym Göringiem zabiegał również minister spraw zagranicznych Józef Beck. Też w Polsce polowali. Beck liczył na przyjaciela-

ski rewanż, czyli przyjacielską politykę III Rzeczy wobec II Rzeczpospolitej. Rok później dowodzone przez pasjonata myślistwa niemieckie samoloty skutecznie polowały na polskich żołnierzy i cywili. Pomimo tak wspaniałych przyjaźni prezydent Mościcki i minister Beck wojnę z Niemcami przegrali. Uciekli potem do Rumunii. Tam Beck wegetował aż do śmierci. Mościckiego uratował szwajcarski paszport. Udało mu się przedostać do Szwajcarii i tam umrzeć.

Polscy prawnicy politycy wiwatowali na cześć prezydenta Trumpa, bo nadal wierzą, że on, po dawnej znajomości i deklarowanej w czasie kampanii wyborczej ultraprawicowości, wreszcie rozwalą im pleniące się w Unii Europejskiej lewactwo, LGBT i samochody elektryczne. Marzą też, aby objął Polskę swym protektoratem. Wysłał tu jeszcze więcej amerykańskiego wojska, co uczyni Polskę jeszcze bardziej bezpieczną i suwerenną.

Uczynić tak ma, bo

szczerze kocha Polaków, o czym wspominał w czasie kampanii wyborczej. Choć jedynie premiera Orbána teraz do swego stołu zapraszał. A przecież każdy polski patriota wie, że ten Orbán ruską onucą pachnie

i dlatego zawiść ich skręca, że moskiewski Madziar, a nie proamerykański Polak wywyższony został.

Skręca niepotrzebnie. Bo choć polscy prawnicy ciągle wierzą w niezmurszały i ideowy konserwatyzm prezydenta Trumpa, to nie potrafią pojąć, że jego amerykański patriotyzm nie musi być zgodny z europejskimi interesami. Nawet z polskimi. Nie chcą pojąć, że polskie idee wartości i interesy mogą być jedynie przedmiotem transakcji amerykańskiego prezydenta.

Taksomat

Dla mnie najpiękniejsze słowo to „clo” – zadeklarował niedawno prezydent elekt podczas spotkania z prezesami amerykańskich firm. Nie ukrywał, że chce obłożyć wszystkie importowane do USA produkty 10-procentową taryfą.

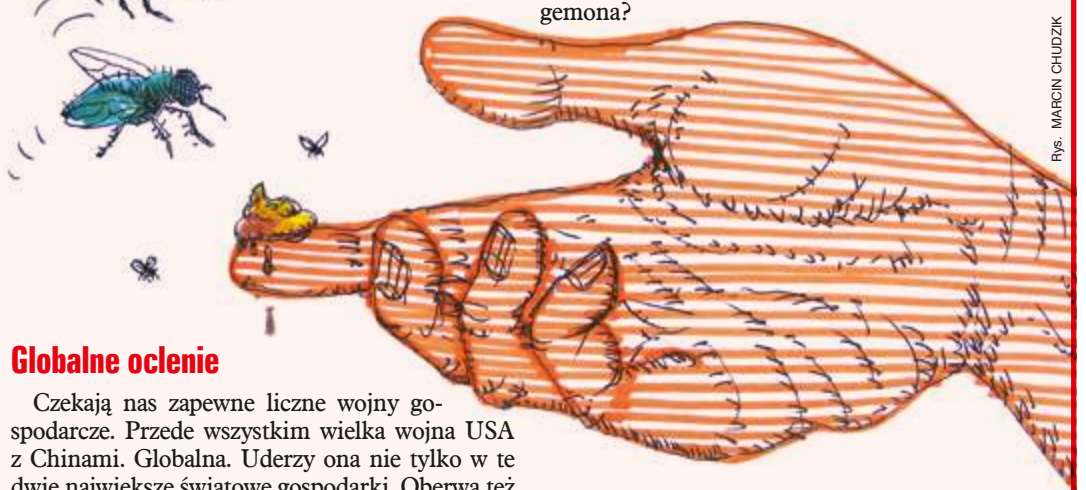
Tak na początek. Bo pewnie tak niskie cła nie uczynią Ameryki wielką dość szybko. Dlatego prezydent Trump przypomniał, że ma w zanadrzu cła 50-procentowe i nie zawaha się ich użyć. To będą cła dla wszystkich importerów, bo jakieś zasady równego, wolnego handlu przecież muszą być.

Ale zawsze i od każdej zasady są wyjątki. Nie może być wolnego handlu, czyli niskich cł, dla państw „wrogów wolności”. Skoro Chińczycy

nie chcą przyjąć amerykańskich standardów wolności, to prezydent Trump obłoży wszystkich chińskie towary od razu cłami w wysokości 60 proc. I poczeka na chińskie oferty. Co zaofiarują mu za ewentualną obniżkę. Jeśli nie przyjmą oni reguł jego wolnego handlu, to przywali im cła jeszcze większe.

Bo to Chiny uważane są za największego konkurenta gospodarki USA i zagrożenie dla amerykańskiej hegemonii w świecie. Dlatego już wcześniej prezydent Biden wpompował miliardy dolarów do amerykańskich prywatnych firm, aby wspierać produkcję baterii elektrycznych, mikroprocesorów i innych strategicznych gałęzi nowoczesnego przemysłu. Pompował zielone pod hasłem walki z inflacją, bo jako gospodarczy liberał brzydzi się pojęciem wspierania rodzimego przemysłu z państwowej kasy.

Zauważcie, że kiedy administracja USA pompuje rządowe, publiczne pieniądze w prywatne firmy, to zawsze zwie to jedynie ochroną własnego przemysłu. Kiedy to samo robią na przykład konkurenci z Chin, to takie praktyki amerykańskie władze i media określają jako nieuczciwą konkurencję i wzywają do nakładania karnych cł na chińskie produkty.



Globalne oclenie

Czekają nas zapewne liczne wojny gospodarcze. Przede wszystkim wielka wojna USA z Chinami. Globalna. Uderzy ona nie tylko w te dwie największe światowe gospodarki. Oberwą też wszystkie pozostałe.

Najmocniej odczują to gospodarki Unii Europejskiej. Unia przespała obecną rewolucję technologiczną. Nadal tkwi w dogmatach religii wolnego handlu, zakazującej jawnej i aktywnej państwowej polityki przemysłowej.

Za politykę handlu odpowiada Komisja Europejska. Na ostatnim jej spotkaniu w Budapeszcie postulowano odrodzenie przemysłu w UE. Zmniejszenie przepisów regulujących go. Ale firmy europejskie mają na to za mało własnego kapitału. Zatem bez pompowania pieniędzy publicznych cudownego odrodzenia może nie być.

Dodatkowo w UE nie ma teraz silnego lidera, który negocjowałby cła z prezydentem Trumpem. Na amerykańskie rynki trafia jedna piąta eksportu z UE.

Jest zatem o czym rozmawiać. Ale prezydent Trump zapewne będzie wołał negocjować wysokość swych cł z każdym przywódcą z państw UE osobno. Proponował biznesik. Coś za coś. To może być korzystne, zwłaszcza początkowo, dla gospodarki USA. Dla gospodarek UE – niekoniecznie.

Wojna tu, wojna tam

Trump próbuje zamrozić konflikt Rosja-Ukraina. Rosja zachowa jakieś zajmowane już ukraińskie terytoria, choć USA oficjalnie nie uzna ich za rosyjskie. I zawiesi walki. Formalnie przynajmniej. Jeśli prezydent Putin nie zechce iść na taki układ, to prezydent Trump może rzucić na światowe rynki ropę naftową i gaz ziemny skroplony z wielkich amerykańskich zasobów. A przynajmniej ogłosić, że on może.

Ukraina za taki „pokój” dostanie od USA gwarancje bezpieczeństwa. A nawet obietnice przyszłej akcesji do UE i NATO. Oraz pomoc finansową w odbudowie jej gospodarki. Ale swą kasę administracja Trumpa uzależni od możliwości wydobycia występujących w Ukrainie metali ziem rzadkich. Aby uniezależnić się od importu z Chin.

Trzeba przypomnieć, że szlachetni Polacy żądają za to jedynie ekshumacji szczątków pomordowanych tam rodaków. To kolejny dowód polskiej, szlacheckiej bezinteresowności.

Na amerykańsko-chińskiej wojnie gospodarczej mogą oberwać Węgry. Obecnie deklaratorywnie najbardziej prochińskie państwo w NATO. Co zrobią premier Orbán i jego ekipa, kiedy administracja antychińskiego prezydenta Trumpa wezwie swoich europejskich wasali, aby publicznie wyrekli się miłości do konkurencyjnego światowego hegemonu?

Rys. MARCIN CHUDZIK

Co się przydarzyło państwu stabilności i dobrobytu? Kanclerz Scholz.

Bajzel jak u Niemca

W Niemczech rozpadł się rząd złożony z socjaldemokratów (SPD), liberałów (FDP) oraz Zielonych. Tarcia trwały od dawna i dotyczyły głównie kwestii gospodarczych, a zwłaszcza krytykowanych przez FDP planów wzrostu deficytu państwa. W tle było spadające poparcie dla członków koalicji. SPD ma najgorsze notowania w historii – ok. 15 proc. poparcia, Zieloni – 10 proc., a FDP – 4 proc., co stwarza realne ryzyko spadku pod próg wyborczy.

Liberałowie wylatują

6 listopada kanclerz Olaf Scholz wyrzucił z rządu ministra finansów Christiana Lindnera (FDP). Niemiecki tabloid „Bild” donosi, że dymisja była ze strony Scholza ciosem wyprzedzającym. Pod koniec października światło dzienne ujrzały gospodarcze propozycje Lindnera: plan obniżki podatków i wydatków na świadczenia socjalne, rewizji celów klimatycznych oraz podniesienia wieku emerytalnego. Propozycja stała w sprzeczności z programami SPD i Zielonych. Kanclerz potraktował ją jako ultimatum godzące w koalicję i Lindnera pogonił.

Scholz liczył, że do końca roku utrzyma rząd mniejszościowy, a na pierwszym posiedzeniu Bundestagu w 2025 r. złoży wniosek o wotum zaufania – którego, ze względu na brak parlamentarne większości, nie otrzyma. Pozwoli to rozpiąć wcześniejsze wybory. Misterny plan zakładał, że odbędzie się 9 marca, tydzień po wyborach do hamburskiego landtagu, gdzie SPD liczy na wysokie poparcie. Socjaldemokraci do swego planu próbowali przekonać opozycję – jak wyjawiał sekretarz generalny SPD na łamach „Süddeutsche Zeitung”, partia Scholza złożyła chadekom (CDU) propozycję postulatów do zrealizowania w ramach rządu mniejszościowego. Pod naciskiem CDU i FDP, domagających się głosowania nad wotum jeszcze w tygodniu odwołania Lindnera, kanclerz spuścił nieco z tonu. Rząd ostatecznie upaść ma 16 grudnia, a nowy skład Bundestagu wyłoniony zostanie 23 lutego 2025 r.

O skrajnej niepopularności obecnego rządu świadczy reakcja opinii publicznej na informację o rozpadzie koalicji. Sondaż wykonany na zlecenie „Bildu” wykazał, że dymisję ministra finansów

i rozpad rządu pozytywnie oceniło 64 proc. respondentów, a tylko 22 proc. nad tym faktem ubolewało. 57 proc. Niemców opowiedziało się za rozwiązaniem Bundestagu i natychmiastowymi wyborami. Pogłębiający się chaos na niemieckiej scenie politycznej prowadzi do wzrostu poparcia dla partii radykalnych i objętych przez mainstream kordonem sanitarnym – Alternatywy dla Niemiec (AfD) oraz Sojuszu Sahry Wagenknecht (BSW) – które popiera już ponad jedna czwarta Niemców.

Ukraina budzi wątpliwości

Tłem zawirowań na scenie politycznej naszego zachodniego sąsiada jest kwestia ukraińska. Rosnące w siłę AfD i BSW mają w tej kwestii jasny pogląd: należy zawiesić wsparcie finansowe i militarne dla państwa ukraińskiego, tym samym zmuszając Zełenskiego, by pogodził się z utratą terytoriów na wschodzie; następnie podjąć rozmowy z Rosją, by wypracować nowy *modus vivendi* we wzajemnych stosunkach i odbudować architekturę bezpieczeństwa w Europie. Obie partie postulują również ograniczenie zależności wojskowej od USA poprzez m.in. zakaz rozmieszczania amerykańskich instalacji rakietowych na terenie RFN, co zresztą raczej podoba się wyborcom – wg sondażu Infratest Dimap z października br., takie rozwiązanie poparłoby 45 proc. obywateli, przy sprzeciwie 40 proc.

Z kolei 36 proc. obywateli RFN uważa, że ich państwo przekazuje na Ukrainę zbyt wiele uzbrojenia. Jak podaje Ośrodek Studiów Wschodnich, podczas wyborów w Turyngii i Saksonii o sukcesie BSW przesądziło właśnie stanowisko ugrupowania wobec Rosji i Ukrainy. W lutym możemy spodziewać się spotęgowania tego efektu, gdyż Bundestag, w przeciwnieństwie do landtagów, ma realny wpływ na politykę zagraniczną.

Zmiany społeczne dostrzegł dogorywający Scholz, który w zeszły piątek postanowił zadzwonić do samego Władimira Putina. W dniu rozmowy komentowano ją ostrożnie, a premier Tusk zdecydował się nawet wyrazić satysfakcję jej przebiegiem. Dopiero gdy Rosja w nocy z piątku na sobotę postanowiła masowo ostrzelać ukraińską infrastrukturę, na Scholza wylała się fala krytyki ze strony przedstawicieli kolektywnego Zachodu i międzynarodowych mediów.

Kanclerzowi nie pomogły nawet zapewnienia, że telefonował do Moskwy wyłącznie w celu jednoznacznej potępienia działań zbrojnych i oznajmienia, że żadne rozmowy pokojowe nie będą toczyć się z wyłączeniem Ukrainy, która może liczyć na wsparcie ze strony RFN tak długo, jak będzie to konieczne.

Taurusy zostają

W zapewnienia kanclerza nikt zresztą nie wierzy. Od początku wojny rosyjsko-ukraińskiej wiadomo, że to SPD jest najbardziej sceptycznym wobec Ukrainy członem koalicji rządowej, a Scholz

Jeżeli chodzi o symbole Ameryki, to mamy flagę w gwiazdki i paski. Wygląda jak bielizna po praniu z kolorowymi skarpetkami albo jak wyrób pijanej krawcowej. Jest wszędzie. Na domach, samochodach i majtkach. Kolejnym charakterystycznym elementem krajobrazu jest Statua Wolności – zielona od starości, z pochodnią w ręku. Przypomina emerytowaną nauczycielkę, która zgubiła okulary i próbuje znaleźć drogę do domu.

No i oczywiście jest też demokracja, w której dwóch kandydatów przekonuje, że są idealni, a potem okazuje się, że obaj kłamią.

60 razy śmierć pukała do Białego Domu

Jest jeszcze jeden zbyt rzadko uwypuklany element tego systemu. Zamachy na prezydentów USA – skuteczne lub nie. Udokumentowanych było 60. Samych zamiarów prezydentobójstwa było zapewne więcej. Spójrzmy prawdzie w oczy. Ile razy fantazjowaliśmy o unicestwieniu teściowej, szefa, sąsiada z kosiarką? Hamuje nas jedynie cienka warstwa kulturowego lakieru, pod którym bulgocze pierwotna zupa instynktów. Zabijanie jest w nas. Tylko udajemy cywilizowanych. Amerykanie nie są inni.

Zamach na prezydenta to element amerykańskiego folkloru. Niczym kowboj z Marlboro. Motyw ten, wielokrotnie eksploatowany przez popkulturę, zaowocował zalewem filmów, komiksów i innych fantazji o prezydenckich zamachach. Był nawet musical. Google, po wpisaniu frazy „zamach na prezydenta Stanów Zjednoczonych” (po angielsku), wypłuka ponad 10 mln wyników – od brukowców po naukowe analizy. Ameryka żyje mitem zabijanych prezydentów.

Statystycznie rzecz biorąc, na każdą z 45 osób sprawujących urząd prezydenta USA przypada 1,33 zamachu. W ostatnich dziesięcioleciach liczba tych incydentów wzrosła. Abraham Lincoln był celem pięciu zamachów, z czego jeden okazał się skuteczny. Donalda Trumpa próbowano uśmiercić osiem razy, a Barack Obama przetrwał 11 ataków.

Niewiele z tych incydentów miało znaczenie historyczne. Większość zamachowców spotkała surowa kara lub śmierć. Choć nie można też zapomnieć, że wielu sprawców nieudanych zamachów żyje, i to już na wolności. Ostatnio uwolniono Johna Hinckley’ą, który strzelał do Ronalda Reagana.

Skutecznie uśmiercono zaledwie czterech prezydentów, zatem stosunkowo niewielki ich odsetek. Przymierzając tę czwórkę do wszystkich prób zabójczych i nieprawdopodobnych perypetii towarzyszących niektórym zamachom (np. do prezydenta Andrew Jacksona strzelano z dwóch pistoletów naraz. Zaden nie wypalił. Potem się okazało, że oba były sprawne), wychodzi mi, że większość prezydentów ma szczęście większe niż wygrana w totolotka. Albo dobrych ochroniarzy.

Jednak najważniejsze, co już można powiedzieć, były zamachy dwa. Na Kennedy’ego – o którym z powodu kolejnej rocznicy (22 listopada) za chwilę będzie głośno i nie przypadkiem czytacie ten tekst właśnie dzisiaj – udany. I ten drugi, całkiem świeży, na już nieprezydenta, a jeszcze nie prezydenta – nieudany z punktu widzenia zamachowca, ale udany z punktu widzenia niedosłej ofiary. Rzec można: uśmiech losu.

Zamachy te zburzyły logikę demokracji i podsycone go nia rozumowania, implikując ponowną ocenę dotychczasowych wyobrażeń o życiu i świecie oraz zmuszając do poszukiwania prawdziwego mechanizmu nie tylko wielkiej historii. Zatem szukajmy.

regularnie hamował hunwejbnińskie zapędy przewodniczącej Zielonych i szefowej resortu dyplomacji Annaleny Baerbock oraz tradycyjnie popierających wszystko, co przypyływa zza oceanu liberałów. Według informacji „Berliner Zeitung” przewodniczący FDP uznał kwestię ukraińską za jeden z powodów rozpadu koalicji. Jego zdaniem Scholz konsekwentnie utrudniał finansowanie i dozbrajanie Kijowa, nie zgadzając się choćby na postulowane przez stronnictwo Lindnera przekazanie pocisków manewrujących Taurus, które mogłyby służyć do ataku na cele w głębi Rosji. W sprawie Taurusów Scholz ma jednak ugruntowaną opinię, której nie zmieniła nawet ostatnia deklaracja amerykańskiego prezydenta Bidena zezwalająca na używanie rakiet ATACMS do ostrzeliwania obwodów kurskiego. Nawiasem mówiąc, kanclerza popiera w tej sprawie dość egzotyczny sojusz AfD–BSW–Linke oraz znaczna większość społeczeństwa (jedynie 35 proc. Niemców chce przekazać Taurusy Ukrainie), a przeciwno jest nie mniej egzotyczny alians obecnego (Zieloni) i byłego (FDP) koalicjanta SPD wraz z największą siłą opozycyjną (CDU/CSU) i większością mainstreamowych mediów.

Sprawa Taurusów jest jednak tylko wisienką na torcie bałaganu i gospodarczej zapaści, w które wpędził Niemcy rząd Scholza. Państwo uważane niegdyś za wzór stabilności i porządku pogrąża się na coraz większym kryzysie. Jego gospodarka balansuje na granicy recesji, a Bloomberg sugeruje, że w najlepszym wypadku wzrost gospodarczy

Kennedy z dziurą w głowie, Trump z dziurą w mózgu

Oswald i Crooks – podobieństwa i różnice

Uderzające są podobieństwa osobowościowe między Kennedym a Trumpem. Wymienię.

Obaj używali lakieru do włosów, a ich charakterystyczne fryzury stały się znakiem rozpoznawczym. Kennedy miał elegancką, starannie ułożoną, Trump – powiedzmy – niepowtarzalną.

Obaj mieli piękne i stylowe żony. Jackie Kennedy była ikoną mody, Melania Trump jest byłą modelką. Plotki niosą, że żadna z nich nie gotowała obiadów.

Obaj mieli potężnych wrogów. Kennedy – mafię i komunistów. Trump – demokratów i prawdę. Obaj prezydenci byli uwikłani w liczne skandale. Kennedy – seksualne i polityczne. W przypadku Trumpa skandal to chleb powszedni.

Obaj mieli ogromne ambicje. Kennedy chciał wysłać człowieka na Księżyc (co się udało dopiero potem), Trump – zbudować mur na granicy z Meksykiem (co jeszcze do końca się nie udało).

Ale nie można też pominąć drastycznych różnic między obu panami: Kennedy był intelektualistą, Trump – cóż, powiedzmy, że nie. Kennedy cytował poetów, Trump – samego siebie. Kennedy posługiwał się wytwornym językiem, Trump mówi językiem ulicznych gangów. Kennedy przemawiał, Trump – tweetyzował. Kennedy był uosobieniem elegancji, Trump kiczu. Kennedy nosił skrojone na miarę garnitury, Trump – cokolwiek, byleby było drogie i złote. Kennedy uwodził kobiety swoim wdziękiem, Trump – swoim portfelem. Kennedy miał romanse, Trump – żony na zmianę. Skoro o tym, to też niepozbawione sensu jest stwierdzenie, iż Kennedy miał kochanki, natomiast Trump ma żonę, która wygląda jak kochanka.

Nigdy nie dowiedziano się, jakie były prawdziwe motywy prezydenckich zamachowców; żyli oni zbyt krótko po zamachach, aby udzielić wyczerpujących wyjaśnień. Lee Harveya Oswalda zabito po dwóch dniach. Thomasa Crooksa, który celował do Trumpa, po trzech sekundach. Zatem wyobrażenie motywów każdego z nich wymaga podniesienia się (lub opuszczenia) do poziomu absurdu.

Harvey Oswald, strzelając do prezydenta, musiał wiedzieć, że zabójstwo nie zmieni linii politycznej Ameryki, ponieważ po śmierci Kennedy’ego urząd musiał objąć wiceprezydent, również demokratą, którym był Lyndon Johnson. Co więcej, Johnson wygrał kolejne wybory, zatem utrzymał się na stanowisku przez sześć lat. Logicznie rzecz biorąc, zamiast Harveya Oswalda nie mógł się powieść z mocy prawa.

Crooks, strzelając do Trumpa, zapewne nie chciał, aby ten został prezydentem po raz wtóry. Jednakowoż, jak teraz się uważa, to właśnie ten zamach zapewnił Trumpowi kolejne zwycięstwo. Trump udowodnił, że Bóg go chroni i prowadzi, gdyż życie od śmierci było tu oddalone o jakieś trzy centymetry.

Kennedy: co by było gdyby?

Gdyby Kennedy przeżył zamach w Dallas, świat wyglądałby zupełnie inaczej. Wojna w Wietnamie mogłaby potoczyć się innym torem. Zapewne uniknięto by eskalacji i tysięcy ofiar. Zimna wojna

w obecnym roku będzie zerowy. Rządzący, starając się opanować kłopoty, obiecują gruszki na wierzbie. Kanclerz zarzeka się, iż będzie wspierać Ukrainę tak długo, jak to konieczne, jednocześnie grmiz, że nie może to oznaczać cięć w emeryturach, opiece zdrowotnej czy inwestycjach w infrastrukturę. Ostatnie zamieszanie wokół rozmowy z Putinem doprowadziło do tego, że

nawet własna partia rozważa pozbycie się Scholza i wystawienie na kandydata na kanclerza ministra obrony Borisa Pistoriusa.

Upadek rządu jest już przesądzony, a najbliższe wybory najpewniej przyniosą zwycięstwo chadecom notującym w sondażach ok. 30 proc. poparcia. A to może oznaczać powrót „wielkiej koalicji” z... SPD, które owczym pędem utrzyma się u władzy, gdyż w przeciwnym razie chadecy musieliby zaprosić do rządu AfD, co na berlińskich salonach wydaje się niemożliwe do przełknięcia.

HUBERT CEZARY WYSOCKI



rys. TOMASZ ROGOWSKI

z ZSRR pewnie trwałyby nadal, chociaż kto wie, może Kennedy, znany ze swojej charyzmy i otwartości na dialog, znalazłby sposób na jej deeskalację? Wewnętrznie Ameryka kontynuowałaby liberalne reformy zapoczątkowane przez prezydenta, co mogłoby wpłynąć na kwestie rasowe, ubóstwa i edukacji.

Gdyby Kennedy przeżył, Jackie Kennedy nigdy nie wyszłaby za mąż za Aristotelisa Onasisa. Za to Onasis ożeniłby się z Marilyn Monroe. A potem z Liz Taylor. Na Księżycu stanęłaby nie tylko amerykańska flaga, ale i radziecka. A może nawet chińska?! Mur berliński runąłby dziesięć lat wcześniej. Nixon nigdy nie zostałby prezydentem. A Watergate byłoby tylko nazwą hotelu. Sam Kennedy dożyłby sędziwego wieku i napisałby pamiętniki. Pełne plotek, skandali i rewelacji, które przeczytałby cały świat z zapartym tchem. I z okiem przymkniętym na fakty. Tak się jednak nie stało.

Sukcesor Kennedy’ego, Lyndon Johnson, był w stosunku do poprzednika jak stary pick-up przy błyszczącym Cadillacu. Johnson wbrew filozofii własnej partii utknął w wietnamskim błocie. Flirtował z bombą atomową. Wojna w Wietnamie pochłonęła gigantyczne pieniądze, które nie mogły być przeznaczone na likwidację ubóstwa i doniosłe cele socjalne, których wizję miał Kennedy. Wprawdzie Ameryka zawiązcza Johnsonowi przełomowe ustawy o prawach obywatelskich zakazujące dyskryminacji rasowej w głosowaniu, zatrudnieniu i miejscach publicznych. Tyle że był to tylko papier w warunkach, kiedy sytuacja ekonomiczna kolorowej biedoty nie mogła się poprawić. Trafne jest spostrzeżenie, że demokratą Lyndon Johnson był bardziej republikański niż niejeden republikanin.

Zatem z punktu widzenia Oswalda jego zamierzenia, wbrew logice, raczej się powiodły.

Harris prezydentką: koniec świata czy początek nowego?

Spójrzmy teraz na intencję Crooksa mierzącego do Trumpa. Gdyby w ogóle do niego nie strzelał, Trump nie zostałby ponownie prezydentem. To mogłoby oznaczać, że prezydentem zostałaby Kamala Harris. Ale gdyby Crooks zabił Trumpa, to prezydentem zostałaby na pewno Kamala Harris. Zatem lepiej by było, żeby Crooks strzelił sobie w stopę, niż chciał zostać światowym gierojem.

Gdyby prezydentem została Harris, to zapewne okazałaby się mądrą i sprawiedliwą liderką jednoczącą naród. Uzdrowicielką gospodarki, która przywróciłaby Ameryce dawny blask. Promowałaby feminizm, gender i inne fanaberie... Choć też nie można wykluczyć, że rozdałaby wszystkie pieniądze biednym, a bogatych oślepiła podatkami. Naturalnie istniało ryzyko, że jako czarnoskóra kobieta będzie dyskryminowana białych, wprowadzać parytety, kwoty i inne formy pozytywnej dyskryminacji. Mogłoby dojść nawet do tego, że amerykańscy męż-

czyźni musieliby siedzieć w domach, zajmować się dziećmi i gotować obiady. W każdym razie postępek lub pokojowy przewrót. Jak kto woli.

Niestety, Donek przetrwał i – wbrew nadziei na jego polityczny zgon – odrodzi się ze zdwojoną mocą.

A co to oznacza?

Globalne ocieplenie przyspieszy, bo Trump stwierdzi, że to spisek chińskich producentów lodówek. Rozwiązaniem będzie wybudowanie gigantycznej klimatyzacji dla całej planety, zasilanej oczywiście węglem.

Meksyk wybuduje mur, żeby uchronić się przed uciekającymi Amerykanami. Rosja zaanektuje Alaskę, którą Trump odsprzeda jej za połowę ceny, chwalać się, jaki to on jest świetny negocjator. Biały Dom zostanie przemianowany na Trump Tower White House Casino & Golf Resort. Gabinet owalny na pole do mini golfa. USA wystąpią z NATO, bo Trump stwierdzi, że składka członkowska jest za wysoka. Na Księżycu powstanie kolejny Trump Tower, bo „kosmos to przyszłość, a przyszłość należy do mnie!”. Twitter (obecnie X) zostanie uznany za oficjalny kanał komunikacji rządu USA, a wszystkie decyzje prezydenta będą ogłaszane w 140 znakach (lub mniej, bo Trump lubi skróty myślowe).

Jakie praktyczne wnioski możemy sobie z tego wyciągnąć co do zasad tego świata, gdzie tłuczemy się między chceniem a możliwościami jak mucha w szklance gazowanej wody lub jak człowiek z karabinem, co by chciał, choć nie może? Nie napawaj optymizmem. Życie jest jak zamówienie w restauracji homara i dostanie zgniełej szprotki. Z sałatą z robakami. I kieliszkiem wody z kranu, za którą trzeba zapłacić jak za szampana. A na deser – rachunek za cały lokal. I do tego jeszcze kelner pluje ci w twarz i mówi: „Smacznego!”. I niestety w ten brutalny sposób traktowani są nie tylko amerykańscy prezydenci oraz ich zabójcy. Nieprawdaz?

ROBERT JARUGA

1. Prezydentur łącznie z Bidenem było 46. Prezydentów 45. Amerykanie bowiem liczą, że jeżeli prezydent urzęduje przez dwie lub więcej kadencji, jest to jedna prezydentura. Natomiast Grover Cleveland prezydentował przez dwie nienastępujące po sobie kadencje, dlatego jest liczony jako 22. i 24. prezydent. Tak samo będzie z Trumpem, który liczony będzie jako 45. i 47. prezydent USA.

Z CZARNEJ DUBY SIĘ WYRWAŁO

■ **Jedynym (!) wyjściem, aby chronić dzieci przed ideologią transgenderową, neo-markszizmem i każdym lewicowym obłędem, jest dziś wyłącznie edukacja domowa.** Rodzice powinni trzymać swoje dzieci jak najdalej od ministerstwa edukacji i szkoły jako takiej.

o. Jacek Dąbrowski, X, 14 listopada

■ **Niestety pokłosiem systemu komunistycznego są ludzie mieszkający w Polsce, ale polskość traktujący jak nienormalność. (...) Wyzuci z przyzwoitości, bez zasad moralnych, miłości do Boga i Ojczyzny, kupczą polskością. Nie czują związku z cywilizacją chrześcijańską, nie szanują życia, a wręcz przeciwnie, celebrują śmierć, mordując własne potomstwo.** Oni Polskę postrzegają jako część europaństwa, bo siebie chcą widzieć jako obywateli kontynentu i świata, bez zadań i obowiązków.

Barbara Nowak, PCh24.pl, 11 listopada

■ **Nowy prezydent USA zdaje się w tej chwili dążyć już nie do osiągnięcia pragmatycznego sukcesu, ale do cywilizacyjnego zwycięstwa.** Jednym z istotnych przejawów jego duchowej dojrzałości było sięgnięcie po modlitwę do św. Michała Archanioła w dniu obchodzonym przez katolików na jego cześć, to jest 29 września. (...) **Prezydent Trump ma wszelkie powody do obaw, że próba wyeliminowania go z gry zostanie ponowiona. Stąd jego zdecydowane powierzenie się w opiekę potężnemu Księciu anielskiemu.**

ks. Robert Skrzypczak, Opoka.pl, 11 listopada

■ **Obecna kultura hiperindywidualizmu i sekularyzacji pewnego dnia upadnie. Jeśli będzie wówczas gotowa twórcza mniejszość przekonanych chrześcijan, będzie ona w stanie pokierować powstaniem nowej kultury.** Naszym dzisiejszym zadaniem jest pełne głoszenie wiary katolickiej, w tym jej nauczania o moralności małżeńskiej i etyce seksualnej, i przekazywanie jej młodszy pokoleniom. **W ten sposób możemy przyczynić się do powstania nowej kultury, w której zasadniczy związek między małżeństwem, stosunkiem płciowym i prokreacją jest uznawany i przeżywany.**

kard. Willem Jacobus Eijk, III Międzynarodowy Kongres dla Małżeństwa i Rodziny, Kraków, 13 listopada

■ **Bardziej spójny z proaborcyjną ideologią lewicy byłby projekt dnia wolnego w święto Młodzianków Męczenników.** Lewica prąduje w opitowywaniu katolików, dąży do ograniczania religii w szkole, promuje demoralizację w ramach tzw. edukacji zdrowotnej, kształtuje programy szkolne w taki sposób, aby wykorzystać młode pokolenie z polskich i religijnych tradycji, krzyczy, że ochrona nienarodzonych to piekło kobiet. A teraz dopomina się o wolną wigilię. Przypomina się powiedzenie, że diabeł ubrał się w ornat i ogonem na mszę dzwoni.

ks. Tomasz Jaklewicz, Opoka.pl, 13 listopada

■ **Dziś trzeba nam profesorów i nauczycieli, którzy nie sprzedadzą się obcym koncernom i obcym ideologom, ale będą kształcić i wychowywać (...)** pokolenie Polaków gotowe budować wspólnotę narodową i państwową na fundamencie naszej 1000-letniej historii, dorobku duchowego i materialnego. (...) **Dziś trzeba nam lekarzy, pielęgniarzek i innych pracowników służby zdrowia, którzy będą pamiętać o swojej przysiędze i powołaniu (...).** **Którzy będą asystować przy rodzącym się życiu, towarzyszyć mu na każdym etapie, aż do naturalnej śmierci. Którzy nie dadzą się zastraszyć i nie będą narzędziami cywilizacji śmierci.**

ks. prałat Zbigniew Kras, msza w intencji ofiar katastrofy smoleńskiej, Warszawa, 10 listopada

KLECHA

Lotny pallotyn

Najwyższy polski hierarcha kościelny sięga z Katowic do Warszawy.

Obstawianie, kto i gdzie będzie biskupem, dołączyło do polskich tradycji i sportów narodowych. Za każdym razem, kiedy jakiś tron pustoszeje, rusza giełda nazwisk. Taki mamy czas, że sporo biskupów osiąga wiek emerytalny, inni zaś są „rezygnowani” ze względu na zbyt miłosierne obchodzenie się z pedofilami w sutannach. Zainteresowani klerykalnymi puzzlami personalnymi hazardziści mają złote żniwa.

Desant śląski

Z oczywistych względów najbardziej gorącym tematem jest Warszawa. Polacy przeżywają wybór zarówno prezydenta stolicy, jak i jej biskupa, nawet jeśli miasto widzieli tylko w telewizji. Emocje podsycił do niedawna Watykan, bo choć kard. Nycz – dotychczasowy warszawski namiestnik Rzymu – rezygnację złożył już pod koniec ubiegłego roku, to szefostwo Kościoła kat. nie kwapiło się z ogłoszeniem nazwiska jego następcy.

Kazimierz Nycz zastąpi Adrian Galbas, dotychczasowy metropolita katowicki. Nie porządził długo na Śląsku – zaledwie półtora roku temu przejął tamtejsze stery po skompromitowanym do cna Wiktorze Skworcu, który korzysta z uroków emerytury przez nikogo nieniepokojony.

Tak rozchwytywanego biskupa jak Galbas dawno w Polsce nie mieliśmy. W ciągu niespełna pięciu lat zalicza już czwartą diecezję. W Warszawie osiadł zapewne na dłużej, bo niewiele jest bardziej prestiżowych fuch dla purpurata w Polsce. Ma dopiero 56 lat, może spokojnie bawić w stolicy dwie dekady. A ponieważ arcybiskup warszawski to w laicyzującej się Polsce nadal poważna persona, warto wiedzieć, kto zaczł i czego się można po nim spodziewać.

Jego wysokość

Adrian Józef Galbas to jedna z najwyższych polskich ekscelencji – dosłownie i w przenośni. Mierzy około dwóch metrów, jest chudy jak patyk – zupełnie nie wpisuje się w obraz biskupa pasibrzucha. Karierę duchownego rozpoczął w zgromadzeniu pallotyń. Zakonnicy ci mają za zadanie współpracę z plebem, czyli tzw. świeckimi. To przydatna umiejętność w czasach, gdy księży coraz mniej, a owieczki mają coraz większy wpływ na to, co się dzieje w watykańskiej korporacji. Opozycja kler-laikat odchodzić powoli do lamusa, choć nad Wisłą wciąż nieźle się trzyma. Franciszek, by ocalić to, co jest jeszcze w Europie do ocalenia, stawia na tych, którzy umieją mówić w innym dialekcie niż ten nauczany w seminariach.

Pallotyń jest także abepe Tadeusz Wojda – przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski. Pallotyni przejęli najbardziej eksponowane stanowiska w polskiej hierarchii. Przewodniczący episkopatu i metropolita warszawski wygłaszają puszczane w publicznej telewizji przemówienia z okazji świąt, więc ich gęby zdążają się jeszcze Polakom opatrzyć. Dawnie arcybiskup warszawski był też prymasem Polski, ale z końcem kariery Glempa tytuł ten wrócił do Gniezna. Mimo wszystko pozostać stołecznego hierarchy jest bardziej poważana niż prymas. Bliskość władz centralnych i wielkiego biznesu robi swoje. Choć odchodzący na emeryturę Nycz narzekał podobno urzędnikom stołecznego ratusza, że u niego bida aż piszczy.

– My jesteśmy biedną diecezją, nie to co Kraków. Tam są pieniądze, diecezja bogata, a tu trzeba dbać o zasoby – miał mówić, by przekonać, że zbudowanie 170-metrowego wieżowca jest niezbędne dla funkcjonowania diecezji.

Krótką ławką

Adrian Józef Galbas wielką karierę zaczynał w 2019 r. jako biskup pomocniczy w Ełku. Po niespełna dwóch latach rozgrzewki został przerzucony do Katowic na koadiutora (biskupa z prawem następstwa), a w maju 2023 r. objął pełnię rządów na

Śląsku. W międzyczasie był administratorem słynnej diecezji sosnowieckiej, dopóki nie zasiadł tam na tronie bepe Artur Ważny. Błyskotliwa i błyskawiczna kariera urodzonego w Bytomiu pallotylna stała się przyczynkiem do debaty nad zapleczem kadrowym polskiego Kościoła kat.

Abepe Galbas jest trochę jak swego czasu Józef Oleksy, który – jak głosi anegdota – na pytanie taksówkarza dokąd jedziemy? miał odpowiedzieć: wszystko jedno, wszędzie mnie potrzebują.

O tym, że wśród polskiego kleru brakuje orłów, nikogo nie trzeba przekonywać. Ale żeby aż tak? Zwłaszcza że Galbas – wbrew zapewnieniom jego sympatyków – nie odbiega za daleko w myśleniu od swoich kolegów. Gdy przekazywał rządy w Sosnowcu bepe Ważnemu, w starym biskupim stylu ukąsił dziennikarzy.

Istnieje diecezja w rzeczywistości i diecezja w mediach, które eksponują tylko to, co chcą, w dawce, w jakiej chcą, i z komentarzem, z jakim chcą – mówił w kazaniu.

Swojemu następcy poradził, by robił swoje i podejmował decyzje, które wynikają z głębokiego roze-

znania, z odwagi, a nie z brawury i po konsultacji z mądrymi ludźmi. Nie zaś decyzje, których oczekują łowcy klikalności. Rzeczywiście, nacpani księża urządzający śmiertelne orgie na plebanii wymagają głębokiego zrozumienia, a dziennikarze jak zwykle się czepiają. Jak na nową jakość mocno trąci myszką.

Poker face

Jak podkreślają entuzjaści nowego metropolity, nie zdradza on swoich sympatii politycznych, nie politykuje w kazaniach i jest skupiony raczej na sprawach duchowych niż materialnych. Może to być poczytane jako zaleta, ale też i wada. Mając przed sobą Jędraszewskiego czy Rydzyską, od razu wiemy, z kim mamy do czynienia, a tutaj pojawia się człowiek zagadka.

Na pewno ma specyficzny pogląd na to, czym jest świeckie państwo. Wyraził go w kazaniu na Święto Niepodległości. *Budujmy więc współczesną Polskę, świeckie państwo, nie na negacji wartości i zasad chrześcijańskich, ale na szacunku dla nich i ich respektowaniu* – mówił 11 listopada w katowickiej katedrze. To jak budować zdrowe społeczeństwo, szanując i respektując choroby.

Na dokładkę Galbas został w ramach episkopatu przewodniczącym Komitetu ds. Dialogu z Niewierzającymi. Bi-



skupi ten dialog wyobrażają sobie zapewne jak z obrazka Marka Raczkowskiego, na którym czapkujący plebanowi w głębokim poklonie mężczyzna zwraca się do księdza: *Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Chciałbym złożyć wniesek o apostazję.* W końcu świeckie państwo – zdaniem nowego metropolity warszawskiego – to przede wszystkim szacunek dla chrześcijaństwa.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

WIARA CZYNI CZUBA

1. Pete Hegseth, któremu Donald Trump obiecał stanowisko sekretarza obrony, ma zajmującą całą biceps dziarę o treści *Deus Vult* – Bóg tak chce. Wiemy to, bo chwalił się na Instagramie. *Deus Vult* to motto pierwszej krucjaty z 1096 r. – co samo w sobie może niepokoić, albowiem koleś zawiadujący najpotężniejszą armią świata nie powinien mieć mentalności krucjatora. Dodatkowo jest to wezwanie modne wśród prawackiej ekstremy w rodzaju organizacji Proud Boys i Three Percenters, które brały udział w szturmie na Kapitol. Na wątpliwości co do dziary potencjalnego sekretarza obrony odpowiedział wiceprezydent elekt J.D. Vance, który uznał, że czepianie się chrześcijańskiego motto to przejaw antychrześcijańskiej bigoterii.

2. Kancelaria brytyjskiego premiera przeprosza najunienię brytyjską

wspólnotę hinduistyczną za to, że na przyjęciu z okazji święta Diwali podano wino, piwo i baraninę. Jako praktykująca hinduska, reprezentująca tysiące hindusów w moim okręgu wyborczym Leicester East, byłam głęboko zasmucona – fochnęła się torysowska posłanka Shivani Raja. Wprawdzie hinduizm nie zabrania ani mięsa, ani alkoholu, ale wielu wyznawców hinduizmu to wegetarianie, a niektórzy są także abstynentami – tłumaczy źródło oburzenia „Guardian”. Przy organizacji wydarzenia został popełniony błąd. Rozumiemy, jak silne są uczucia w tej sprawie, dlatego przepraszamy społeczność i zapewniamy, że to się więcej nie powtórzy – pisze Downing Street w pokornym oświadczeniu.

3. Socjalizm to ideologia, która jest wrogiem krzyża i grobem narodów, gdyż sprawi, że państwo opiekuńcze rozwiąże wszystkie problemy, nie oczekując od jednostek poświęcenia – ogłosił biskup José Ignacio Munilla z hiszpańskiej diecezji Orihuela-Alicante. W rządzonej przez lewicę Hiszpanii biskup zdiagnozował kryzys antropologiczny, albowiem socjalizm stara się zbuntować przeciwko porządkowi naturalnemu, zamieniając rany w prawa, zamiast

zaakceptować rany emocjonalne, owoc rozpadu rodziny. Jakby ktoś nie wiedział, o czym pan biskupi pierdoli, to chodzi o aborcję, antykoncepcję i prawa, które chronią kobiety przed przemocowymi partnerami. W katowickie: uciekanie od efektywnego zaangażowania i otwarcia się na dar życia oraz traktowanie cierpienia jako niezgodnego z ludzką godnością.

4. Katolicki portal informacyjny CNA opowiada o Instytucie Małych Sióstr Uczennic Baranka: francuskim zakonem, do którego przyjmowane są kobiety z zespołem Downa. Nie pochyliła się nad pytaniem, na ile osoby z IQ w zakresie 30–60 są w stanie podjąć świadomą i nieodwołalną decyzję o wstąpieniu do klasztoru, surowo za to krytykuje badania prenatalne, które prowadzą do usuwania płodów z downem. W Europie i we Francji aborcja jest wszechobecna. Dzieci z zespołem Downa nie mają już prawa do życia – mówi przeorysza, matka Line. Co za szkoda, że medycy mówią, że będzie to obciążenie dla rodziny, podczas gdy dziecko z zespołem Downa jednoczy rodzinę. Taaaa... Mamusia zostaje w domu, a tatuś tyra na wszystkich, przez co czuje większą więź z rodziną.

WIEŚCI Z KRUCHTY

✦ Ks. Stanisław Czernik, bliski znajomy abepe Marka Jędraszewskiego i proboszcz parafii św. Jadwigi w Krakowie, postanowił ukrócić kościelną działalność edukacyjno-społeczną dla okolicznej bachorni. Świątynia została zbudowana z myślą, by służyć okolicznym mieszkańcom. Pod górnym kościołem zorganizowano przestrzeń, w których mieszczą się m.in. sala gimnastyczna i siłownia. W ramach parafii działa Centrum Kultury im. św. Jadwigi, które oferuje dzieciom lekcje gry na instrumentach, zajęcia plastyczne, modelarskie i baletowe. Równolegle funkcjonuje klub sportowy Jadwiga. Za czasów poprzedniego proboszcza ks. Marka Hajdyły wszystkie atrakcje były dostępne za darmo, niestety, księżulo odszedł do domu Pana, a nowy proboszcz postanowił wycisnąć z pańskiej winnicy, ile wlezie. Klecha zażądał stówy od dziecka za udział w zajęciach, a przykościelną działkę, na której mieści się boisko, ma zamiar sprzedać. Jak podkreślił ks. Czernik *skończyły*

się czasy dojenia parafii. Popieramy. Lepiej, żeby dzieci piły wino za garażami, niż kręciły się w pobliżu nowego proboszcza.

✦ Na stronie parafii św. Andrzeja Boboli w Swarzędynie ukazały się „Wskazania kołędowe”, które szczegółowo określają wymagania postawione wiernym chętnym przyjąć duszpasterza pod swoimi strzechami. Wśród kilku punktów znajduje się prośba o przygotowanie pojazdu dla księdza i jego asystentów (środek transportu ma być gotowy na 15 minut przed rozpoczęciem kołedy), a także przypomnienie o uregulowaniu zaległych datków celem pokrycia należności za kosztowne prace na starym cmentarzu. Wierni zostali również zobowiązani, aby przedstawić księdzu osoby zamieszkujące w ich domostwie dłużej niż trzy miesiące. Niby kołoda, a jednak cyrk.

✦ Jedno z „dzieł” Instytutu Ordo Iuris – uczelnia Collegium Internarium – straciła siedzibę w kamienicy przy ul. Bagatela 12 w centrum Warszawy. Władze szkoły twierdzą, że to efekt niszczenia uczelni przez rząd, tymczasem Państwowa Agencja Inwestycji i Handlu, która jest właścicielem budynku, rozwiązała

umowę z Collegium Internarium z powodu 190 tys. zł zaległości w opłacie czynszowej. Siedzibę placówki przeniesiono do pomieszczeń kancelarii prezesa Ordo Iuris Jerzego Kwaśniewskiego. Zmieściła się bez problemu, ponieważ mało popularna uczelnia prowadzi zajęcia dla pojedynczych studentów.

✦ W ramach prokuratorskiego śledztwa prowadzonego w sprawie nieprawidłowości ujawnionych w diecezji sosnowieckiej w Komendzie Woje-wódzkiej w Katowicach powstał specjalny punkt kontaktowy dla osób poszkodowanych przez księży. Przypomnijmy: pod koniec września w ramach prowadzonych czynności śledczy zatrzymali dwóch klechów i jednego byłego duchownego z diecezji sosnowieckiej. Wachlarz zarzutów obejmował przestępstwa pedofilii i oszustwa. Osoby poszkodowane przez księży, a także takie, które mają informacje dotyczące prowadzonego śledztwa, mogą zgłaszać się także mailowo na adres: pomagamy@ka.policja.gov.pl.

KLECHA

Więści na pozytywce pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

Jeszcze nie zaczął się mecz naszych piłkarzy w Lidze Narodów przeciw reprezentacji Portugalii, a już telewizyjny komentator Dariusz Szpakowski zdążył poświęcić Polakom wiele ciepłych słów. Podparł się w swoich wywodach opinią trenera rywali Roberto Martíneza, który powiedział, że Polacy to nie tylko Lewandowski. Mają wielu ciekawych młodych piłkarzy, więc nie będzie łatwo z nimi wygrać. Drogi Darku – mogą tak mówić, bo wspólnie wyjeżdżaliśmy na różne imprezy i kolegowaliśmy się – czy spodziewałeś się, że Martínez powie przed meczem o Polakach coś innego? Ze obwieści wszem i wobec, że jego piłkarze zagrają ze zlepkim słabych kopaczy, którzy powinni być zadowoleni, jeśli przegrają tylko 1:5?

Jądro Bońka

Od jakiegoś czasu w ogóle przestałem w radiu i telewizji słuchać politycznych dyskusji. Zanim któryś z polityków otworzy usta, wiem, co powie. Po co tego słuchać? W sporcie nie jest inaczej. Gdybyś, Darku, pamiętał o tym, nie porównywałbyś na początku meczu drużyny Michała Probiezja do Brazylijczyków i nie musiałbyś po ostatnim gwizdku tych wszystkich komplementów odszczekiwać.

Dariusz Szpakowski miał okazję nauczyć się, ile waży słowo wypowiedziane do mikrofonu. Pamiętam historię z czasów, gdy Polska rosła w siłę, a ludziom żyło się dostatnio. Darek pracował wówczas w radiu i był na pewno jednym z najlepszych dziennikarzy. Zdarzyło mu się jednak chlapnąć głupstwo do mikrofonu. Czytał wyniki piłkarskich spotkań i w pewnym momencie powiedział, że mecz skończył się *bezbramkowym wynikiem zero do zera*. Niefart Darka polegał na tym, że audycji słuchał na pokładzie należącego do TVP jachtu „Pogoria” wszechwładny szef radiofonii Maciej Szczepański – taki peerelowski odpowiednik Jacka Kurskiego. Co gorsza, nie słuchał sam, ale w towarzystwie znajomych, którzy zaczęli się nabijać z prezesa, jakich to on beznadziejnych fachowców zatrudnia w swojej instytucji. Szczepański się wściekł i kazał natychmiast zwolnić Szpakowskiego z pracy.

Uratował Darka szef sportu w Polskim Radiu Bogdan Tuszyński, który cenił młodego dziennikarza i słusznie uważał, że taka niegroźna wpadka nie powinna go dyskwalifikować. Przez jakiś czas przetrzymał go w kierowanym przez siebie dziale, a gdy burza ucichła, przywrócił do mikrofonu.

Inna sprawa, że Darek słynął z mniejszych lub większych gaf i w swoim środowisku nazywaliśmy je nawet szpakami. Oczywiście nie byłbym w stanie zapamiętać wszystkich. Bodaj najsłynniejsza to: *Włodek Smolarek krąży jak elektron wokół jądra Zbyszka Bońka*. Długo dokuczaliśmy też koledze, gdy w którejś relacji z meczu stwierdził oczywistą oczywistość: *Jak państwo widzą, nie nie widać przez tę mgłę*. Ten ostatni lapsus powtarzało zresztą później kilku młodszych naśladowców Darka Szpakowskiego, oczywiście nie powołując się na źródło.

Ożywienie w kroku

Przejęzyczenia zdarzają się największym mistrzom. Bohdan Tomaszewski jest legendą polskiego dziennikarstwa sportowego. Transmisje, które prowadził, charakteryzowały się niepowtarzalną atmosferą, bo mistrz bardziej dbał o barwne odwołanie klimatu zawodów niż o fakty. W 1964 r., jeszcze jako uczeń, słuchałem relacji Bohdana Tomaszewskiego z Wyścigu Pokoju i nie mogłem nawet marzyć, że za jakiś czas sam będę 14 razy relacjonować tę imprezę.

Redaktor Tomaszewski przedzierał się przez tłum kolarzy, trenerów i harcerzy zgromadzonych na płycie stadionu. O wszystkim opowiadał do mikrofonu i cały czas przybliżał sylwetkę tego, którego poszukiwał wśród tłumu. Był nim lider i późniejszy zwycięzca całej imprezy, czechosłowacki kolarz Jan Smolík. Ponieważ dziennikarz nie mógł odszukać swojego rozmówcy, opowiadał o nim, rzetelnie opisywał jego czarną czuprynę, wyraziste oczy, żółtą przeproconą koszulkę. Radiosłuchacz miał wrażenie, że na własne oczy widzi kolarza. W pewnym momencie reporter zadał komuś pytanie: *Nie wie pan, gdzie jest Smolík?*

Já sem Smolík – padła odpowiedź.

Sporo zabawnych nieporozumień powstaje wówczas, gdy sportowe słowo ma konotacje z językiem potocznym. W koszykówce słowem „trumna” określa się fragment parkietu, w którym nie wolno przebywać dłużej niż 3 sek. Czy można się dziwić, że podczas transmisji usłyszymy, że ktoś bardzo dobrze czuje się w trumnie?

Do legendy przeszedł opis biegu Ireny Szewińskiej z czasów, gdy była już bliska zakończenia kariery i ze sprintów przestawiła się na bieg na 400 m: *Pani Irena nie jest już tak świeża w kroku jak dawniej*. Przeciwna opinia: *Widać wielkie ożywienie w kroku*

Nie tylko politycy plotą bzdury. Ludzie sportu także.

Jak Lato kazał mi spierdalać



Lewandowskiego – to o biegu naszego też nieżyjącego lekkoatlety Stefana Lewandowskiego.

Nogi piłkarzy są ciężkie jak z waty – miał powiedzieć mój katowicki kolega Andrzej Zydorowicz, choć zarzekł się, że cytat pochodzi z kogoś innego. Nie wiem, nie rozsądzę tego sporu.

Panie Turek!

Skoro jednak jesteśmy w stolicy Górnego Śląska, nie mogę pominąć mojego dobrego przyjaciela Henia Kowolika z katowickiej „Trybuny Robotniczej”. Zmarły dość dawno Heniek pisał piękną polszczyzną, ale mówił z wyraźnym śląskim akcentem i nierzadko wpadał w rozmowie słowa rodem z godki. Byliśmy na hokejowych mistrzostwach świata w Moskwie i jak zawsze wszędzie chodziliśmy razem.

W dniu przerwy w imprezie umyśliliśmy sobie, że odwiedzimy w hotelu naszego najlepszego hokeistę Wiesława Jobczyka i przeprowadzimy z nim wywiad. Zapytaliśmy o niego w recepcji. Tęga żenszczyzna za kontuarem zrobiła się czerwona na twarzy i zaczęła wrzeszczeć: *U nas nikakich jobczykow niet!* Zrobiło się nieprzyjemnie, niewiele brakowało, żeby recepcjonistka wezwała milicję. Z Wieskiem i tak się spotkaliśmy, ale już nie pamiętam, jakiego wybiegu użył Heniek.

Gdy ożeniłem się z Rosjanką i zamieszkaliśmy w Petersburgu, opowiedziałem jej tę historię i zapytałem co po rosyjsku znaczy słowo „jobczyk” i dlaczego tak wściekła się recepcjonistka. Dowiedziałem się, że nie ma w języku Puszkina takiego słowa, ale rzeczywiście nie brzmi ono ładnie, zwłaszcza jako nazwisko. To trochę tak – powiedziała mi Swietłana – jak gdyby w Polsce ktoś nazywał się na przykład Pierdusia.

Wracam do lapsusów moich bliższych i dalszych kolegów po fachu. Do klasyki należy cytat z dzisiejszego poważnego parlamentarzysty, a za moich czasów dziennikarskiego zgrywsa Tomka Zimocha w końcówce piłkarskiego meczu Włódz-Brøndby Kopenhaga w eliminacjach Ligi Mistrzów: *Panie Turek, kończ pan to spotkanie! Turku, kończ ten mecz!*

Ja pamiętam inną fajną sytuację z Wyścigu Pokoju z Tomkiem Zimochem w roli głównej. Po którymś z etapów mechanicy różnych drużyn, a pracowali oni zawsze w nocy, urządzili sobie tęgą popijawę. Nasz mechanik rano był w takim stanie, że ekipa postanowiła położyć go w samochodzie kombi za tylnym siedzeniem, żeby trochę doszedł do siebie. Radiowcy z Polski, Czechosłowacji i NRD mieli podczas każdego etapu krótkie, kilkuminutowe wejścia na antenę. Oczywiście my w wozach prasowych słuchaliśmy ich relacji. I oto przyszedł czas na Tomka Zimocha:

Przed chwilą mijaliśmy samochód techniczny naszej ekipy. Za kierownicą skupiony trener, obok kierownik drużyny wypatruje w peletonie białe-czerwonych koszulek, a z tyłu leży... – tu Tomek zawiesił głos, a ja pomyślałem, że za chwilę obwieści, iż z tyłu leży pijany mechanik. Nic z tego.

Tomek zgrabnie dokończył zdanie: *Z tyłu leży wieniec laurowy, który Ryszard Szurkowski zdobył na poprzednim etapie.*

Lato od dupy strony

Ejże, mądrało, usłyszysz zaraz. Tak ochoczo śmiesz się z innych, a tobie nie zdarzały się podobne przygody? Szczęśliwie nie mówiłem do mikrofonu, gdzie o zabawne lapsusy nietrudno, ale pisałem w gazetach. Mój tekst, nawet ten pisany w wielkim pośpiechu, zazwyczaj czytał jeszcze ktoś w redakcji, zanim trafił do drukarni. O pewnej mojej przygo-

dzie muszę jednak szerzej napisać, choć kiedyś chyba już wspomniałem o niej na łamach „NIE”.

Pracowałem wówczas w dziale sportowym „Trybuny Ludu”, centralnego organu wiodącej siły narodu. Wszystko, co ukazywało się na tych łamach, było święte, poważne i nie podlegało kontestowaniu.

Był jednak taki (co prawda bardzo krótki) okres, w którym krytyka prasowa w PRL była jak najbardziej dopuszczalna, nie wolno było tylko źle pisać o Komitecie Centralnym Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, wojsku, milicji, a także – co może zaskoczyć wiele osób – o Kościele katolickim. Nam, prostym dziennikarzom, a już zwłaszcza sportowym, nakazano trzymać się od Kościoła z daleka; wzajemne rozgrywki między dygnitarzami partyjnymi a hierarchami kościelnymi należały do kompetencji ścisłego grona ludzi bardziej uświadomionych politycznie od nas, szaraczków.

W okresie ogłoszonej przez ekipę Edwarda Gierka „głębokości” – choć tak się ona nie nazywała, bo dopiero później wprowadził ją w ZSRR Michaił Gorbaczow – w dziale sportowym „Trybuny” straciliśmy jakiegokolwiek ochronny parasol. Można było w różnych gazetach jeździć po nas jak po lysej kobyle, co wcześniej było niedopuszczalne.

W warszawskim hotelu Grand, w którym zatrzymała się polska kadra piłkarska, umówiłem się na wywiad z Grzegorzem Łatą. Zjawiłem się punktualnie przed drzwiami pokoju z notesem w rękę i delikatnie zastukałem. Ponieważ nikt się nie odzywał, zastukałem głośniej i nacisnąłem klamkę. Król strzelców mistrzostw świata w 1974 r. leżał na łóżku twarzą do ściany, a dupą do mnie, odwrócił głowę i krótko warknął: *Spierdalać!*

Skarżypyta

Wycofałem się i czort wie, co mnie podkusiło, aby o tym incydencie wspomnieć w krótkiej notce na łamach, oczywiście nie używając słów „dupa” ani „spierdalać”, bo stronicie tak poważnej gazety spaliłyby się ze wstydu. Przecież także dzisiaj, choć świat niby poszedł naprzód, zarówno w „Gazecie Wyborczej”, jak i „Gazecie Polskiej” jeśli już muszą, napiszą „d...” albo „sp...”, choć przecież wszyscy ich czytelnicy znają te słowa i swobodnie posługują się nimi zarówno w życiu prywatnym, jak i zawodowym.

Już nie pamiętam, jakie bzdury wypisałem na tych kilkunastu wierszach, ale musiało być o tym, że dziennikarz nie reprezentuje tylko siebie, ale reszty swoich czytelników, którzy ciężką pracą zarabiają na to, żeby pan piłkarz mógł kopać futbolówkę i wylegiwać się w eleganckim warszawskim hotelu. W redakcji nikt tego nie przeczytał, urzędujący przy ul. Mysiej cenzor też nie miał nic do roboty, bo nie zaatakował żadnej z wymienionych wyżej ważnych instytucji, toteż następnego dnia ludzie czytali, jak to Grzegorz Lato lekceważąco potraktował przedstawiciela mas pracujących.

No i się zaczęło. Nie było chyba w kraju gazety, która nie wzięłaby na tapet krótkiej notki w „Trybunie Ludu”. Nieliczni trzymali moją stronę, większość – ponieważ można już było krytykować tekst w organie KC PZPR – nie zostawiła na mnie suchej nitki. Koledzy z pracy i znajomi zносили mi wycinki i okazało się, że stałem się wdzięcznym tematem felietonu w satyrycznym tygodniku „Szpilki”, pisano o mnie w poważnej „Kulturze”, a nawet w jakimś organie działkowców. Gdyby istniał wówczas internet, miałbym rekordową liczbę kliknięć, wśród których niewiele byłoby jednak polubień.

Stałem się ofiarą gierkowskiej „głębokości”. Ale – z ręką na sercu – sam byłem sobie winny.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl



SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY

Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wolk-Laniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Cwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Michał Marszał, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sadowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniewski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:

00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET

www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa

E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:

Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:

www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl,
www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:

str. 1-16 – 20.11.2024 r.

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Przed meczem reprezentacji Polski w Port-
to prezydent Joe Biden zezwolił naszym pił-
karzom kiwać się również na polowie prze-
ciwnika. Zawodnicy tak się ucieszyli, że
przerznąli jeden do pięciu. Bohaterem spo-
tkania został kapitan Piotr Zieliński, który
do bramki wprowadził nie trafił, ale za to
zrobił sobie selfie z kapitanem Christianem
Ronaldem, zdobywcą dwóch goli.

Trener Michał Probiez znany jest z tego, że
nosi mało gustowne garnitury, oraz z tego, że
nie nosi bikornu, choć powinien. Wyjaśnienie
dla tych, którzy nie znają się na czapkach: bi-
korn to taka czapka, jaką miał Napoleon Bona-
parte. Wyjaśnienie dla tych, którzy nie znają się
na porażkach historycznych: cesarz Francuzów
Bonaparte przegrał bitwę pod Waterloo, która
stała się symbolem klęski. Probiez najpierw
przegrał mecz z Portugalią, a potem ze Szkocją
na Stadionie Narodowym w Warszawie.

Na ostatnich finałach mistrzostw Europy
Polska prowadzona przez Probieza była naj-
gorszą oprócz Szkocji drużyną turnieju. Teraz
Szkocja jest jak Wellington i Blücher w jed-
nym. Wyjaśnienie dla tych, którzy nie znają
się na zwycięstwach historycznych: obydwaj
przegrali mecz z Anglią i pruski, wygrali z Napo-
leonem pod Waterloo.

Na Probieza i jego garnitury nie ma bata.
Mam pomysł na ten zespół – powiedział po me-
czu ze Szkocją. Na pewno są elementy do popra-
wy, ale uważam, że idziemy w dobrym kierunku.
Lemingom też się wydaje, że idą w dobrym
kierunku, dopóki nie spierdola się z klifu.

Dalej Probiez: Można na mnie wieszać psy
(bo lemingi już skoczyły w dół).

Probiez na koniec: Ja sobie zdaję ze wszyst-
kiego sprawę, bo jestem osobą odpowiedzialną.
Ale nie mam zamiaru wycofywać się z drogi, któ-
rą podjęliśmy.

Rękawy opadają...

Kamil Bortniczuk to były pisowski mini-
ster sportu i turystyki. Starszy od Zielińskiego
i RONALDA, ale młodszy od Probieza. Trochę
Blücher (wygrał wybory do sejmiku), a trochę
Bonaparte (przegrał wybory do europarlamentu).
Teraz Najwyższa Izba Kontroli za-
wiadomiła prokuraturę, że gdy Bortniczuk
był ministrem, niezgodnie z prawem prze-
kazał kupę szmalu na budowę Narodowego
Centrum Szkolenia, Badań i Treningu Piłki
Nożnej. Może i niezgodnie z prawem, ale na
pewno niezgodnie z rozumem. Po co ładować
prawie dwieście baniek w dyscyplinę sportu,
której przedstawicielem jest Probiez, zawo-
dowy looser? Wyjaśnienie dla tych, którzy nie
znają się na języku Wellingtona: looser ozna-
cza przegrane, czasem frajera.

Ktoś zauważył, że oglądanie meczów pol-
skiej reprezentacji w piłce nożnej jest jak
podglądanie seksu rodziców: niby nasi, ale
jednak wstyd patrzeć. Chociaż są tacy, którzy
się nie wstydzą: piłkarz Zieliński, selekcjo-
ner Probiez i poseł Bortniczuk.

PRZEMYŚLAŃ WÓW

Dialogi dam,

JOANNA SENYSZYN pisze apelację, bo za krytykę
tzw. żołnierzy wyklętych w pierwszej instancji
częściowo przegrała proces wytoczony przez ich
potomków. **AGNIESZKA WÓŁK-ŁANIEWSKA** jest
ciekawa, co znaczy „częściowo”.

Wółk-Łaniewska: – Jajeczko częściowo nie-
świeże?

Senyszyn: – Trafnie to ujęłaś. Sąd w Gdańsku
chyba chciał, żeby wilk był syty i owca cała. Mam
zapłacić rodzinom wyklętych...

– 100 tysięcy?! Bo tyle chcieli, o ile pamię-
tam...

– No właśnie, że nie. Dziesięć. I przeprosić, ale
tekstem zmodyfikowanym przez sąd. A jak wyni-
ka z uzasadnienia, mam przeprosić głównie dla-
tego, że każdego tweeta nie zaczynałam od słów:
„według mnie”, „moim zdaniem” albo „z mojego
punktu widzenia”. Pewnie pamiętasz, że w latach
2014–2019 – a o ten okres chodzi – tweety nie mo-
gły przekraczać 140 znaków ze spacjami...

– Niniejszym zaznaczam, że w życiu nie twee-
towałam. Nawet zanim ten portal został przejęty
przez socjopatycznego miliardera z kompleksem
mesjasza i dojrzałością przedszkolaka. Zachwy-
ciła mnie skądinąd nalepka na dzierżak Tesli roz-
prowadzana przez Amazon, czyli Jeffa Bezosa:
Kupiłem ten samochód, zanim się dowiedziałem,
że Elon jest jebnięty. Tak się chłopcy zabawiają,
między nami miliarderni... Wracając wszakże
do twojej bitwy o wolność słowa: to chyba oczy-
wiste, że jak coś piszesz na Twitterze, to jest two-
je zdanie?

– Sąd nie tylko w to wątpi, ale uważa, że to w ogó-
le nie były moje opinie, tylko bezprawne uogólnia-
jące pomówienia. Ponoć powinnam była pisać,
że tylko niektórzy wyklęci mordowali, gwałcili
i grabili...

– A najlepiej w ogóle nie pisać nic złego o bo-
haterach?

– Tylko ich chwalić, jak kataprawica. Tłumaczy-
łam, że była to odpowiedź na wręcz nieprzyzwoite,
uogólniające zachwyty nad tzw. wyklętymi wygła-
szone przez prezydenta Dudę i premiera Mora-
wieckiego. Ale sąd nie dał wiary moim szczerym
intencjom odbrązowienia wyklętych i napisał
w uzasadnieniu, że argumentacja pozwanej, że naj-
ważniejsze organy państwa (łącznie z Prezydentem
RP) używały tych samych uogólnień, jest nietrafny.
Czym innym bowiem jest prezentowanie pewnej grupy
społecznej jednolicie w sposób pozytywny, a czym innym
jest ocena negatywna całej grupy w sytuacji, kiedy spora
część historyków uważa, że grupa ta odegrała bardzo
pozytywną rolę w historii Polski.

– Spora część historyków... A konkretnie?

– Takimi szczegółami sąd się nie zajmował.

– Szkoda. Bo chętnie bym przeczytała jakieś
merytoryczne i zgodne z warsztatem historyka
uzasadnienie tezy, że np. niejaki Lalek, który pę-
tał się po lesie przez ćwierć wieku i usiłował wy-
wołać trzecią wojnę światową jeszcze w 1963 r.
– czyli wtedy, kiedy ustanowiono gorącą linię
między Kreml i Pentagonem – odegrał bar-
dzo pozytywną rolę w historii Polski. Nawiasem
mówiąc, dr Sławomir Poleszak, ipeenowski hi-
storyk, odznaczony przez Dudę
krzyżem kawalerskim...

– Czyli słuszny.

– Do pewnego
stopnia. Bo Duda
go odznaczył w 2017 r.,
a PiS wypierdolił z robo-
ty w IPN w 2021. W maju
2024 r. Poleszak wygrał pro-
ces z sądzie pracy. Wracając
wszakże do meritum: wykrył
on, że tenże wielbiony przez PiS La-
lek zastrzelił paru żydowskich party-
zantów, wydał Niemcom żydowskiego
krawca, którego ukrywała cała wieś,
i tak stłukł polskie małżeństwo, któ-
re podejrzewało o ukrywanie Żydów,
że mąż umarł na miejscu, a żona
trafiła na kilka tygodni do szpitala.

– Uważaj, uważaj, bo ciebie też za-
skarżą.

– Co mnie? Niech skarżą Pole-
szaka! A najlepiej cały IPN. Który wszak świa-
domie uogólniał kult wyklętych, mimo iż jego
właśni pracownicy wykazywali – i to nie jeden
raz – że były tam, powiedzmy, pewne niedosko-
nałości etyczne.

– I dlatego uważam, że sąd się myli i uogólnienie
negatywne jest właściwą odpowiedzią na uogólnie-
nie pozytywne.

– Zwłaszcza jeśli to drugie czynione jest przez
organy państwa wbrew prawdzie historycznej.
– Lepiej bym tego nie ujęła. Według mnie...

– A także twoim zdaniem i z twojego punktu
widzenia...

– Dobrze, że mi przypominasz. No więc moim
zdaniem, według mnie i z mojego punktu widze-
nia sąd płatał się w zeznaniach, pardon, w uzasad-

z których
obie żyją



nieniu, bo równocześnie przyznawał, że polaryza-
cja poglądów jest ogromna i że nie jest od ocenia-
nia historii.

– A jednak ocenił. Zgodnie z uświęconą gdań-
ską tradycją bycia za, a nawet przeciw.

– Tam chyba i druga tradycja wchodzi w ra-
chubę, a mianowicie pomroczość jasna. Jeden
z pozywaczy przypisał swojego ojca do oddziału
„Rudego”, o którym pchor. Stanisław Żelanowski,
szef wywiadu Konspiracyjnego Wojska Polskiego
– oddział „Rudego” przez pewien czas
funkcjonował w ramach KWP

– mówił tak: Sam Rudy jest
człowiekiem o nieokreśl-
nionych, najprymitywniejszych
instynktach, bez charakteru,
bez poczucia honoru, prawa i po-
rządku – będąc dowódcą oddziału,
nigdy nie dbał o ideowe prowa-
dzenie walki, rządził się wła-
snymi prawami, zezwalając
swoim ludziom na rabunki,
gwałty i zabójstwa, zyski z róż-
nych „akcji” lokował u swoich
licznych kochanek...

– Z tymi kochankami to na-
wet sympatyczne... Ale gene-
ralnie postać mało przytę-
żalną. Rozumiem, że pociotkom
podkomendnych „Rudego” nie
chcesz płacić ani przepraszać,
więc apelujesz.
– Jakbyś zgadła.

– Moja przenikliwość nie zna granic. A teraz
zmieniając temat, a także – do pewnego stopnia
– stronę...

– Stronę czego?

– Sporu. Otóż powiem ci – tylko nie bij – że nie
poda mi się zabranie PiS-owi subwencji i do-
tacji. I tak, wiem, że oni jechali na rympał, sza-
stali państwową kasą w prywatnym politycznym
interesie i generalnie było to obrzydliwe...

– Dura lex, sed lex.

– Tyle, że ta rzymska bezwzględność w stoso-
waniu prawa skończyła wraz z prawem – i całym
rzymskim państwem – w ryzostoku historii. To-
też uważam, że współczesne myślenie powinno
być bardziej zniuansowane. Po decyzji PKW
elektorat PiS zmobilizuje się w stop-
niu, o jakim elektorat obecnej władzy
może tylko pomarzyć...

– Jak ktoś już wpłaci kasę na kampa-
nię, to na wybory też pójdzie?

– Nawet jak pogoda będzie piękna.
A wyborca PO wybierze weekend na
Costa del Sol, w swoim skromnym
letnim apartamencie w drugiej linii
brzegowej... I po drugie: ta toksycz-
na polaryzacja, która rozpierdała pol-
ską debatę publiczną i kanibalizuje
wszelkie niuanse, jeszcze bardziej się
utrwali. Urban napisał kiedyś – co
namiętnie cytuję – że był osłem, kie-
dy jeżał Adenauera za zatrudnianie
członków NSDAP w swojej kancelarii,
albowiem po wojnie NSDAP-owców
było w niemieckim społeczeństwie
tyłu, że próba wykluczenia ich wywró-
ciłaby demokrację. Nie porównując
w żadnym merytorycznym wymiarze
PiS do NSDAP – sądzę, że mamy do
czynienia z podobnym zjawiskiem. Na
PiS głosuje 7–8 mln Polaków. I to oni
poczuja się wykluczeni po odebraniu
PiS-owi dotacji, nie Jarosław z Mariu-
szem. Moim zdaniem to gruby błąd.

– Pewnie niestety masz rację. Zwłasz-
cza że PO podzieliła się na zwolenników
Trzaskowskiego i Sikorskiego, i wygra-
nemu w prawyborach przegrana połowa
nie pomoże w wyborach. Niczego się nie
nauczyli po prawyborach w 2015 r.

– Na czym się mają uczyć, skoro Do-
nald nie popełnia błędów?

senyszyn@wp.pl, wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI